MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 23 WARSZAWA, 30 MAJA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

POKUSY REAKCJI I REWOLUCJI

Z LEKTUR dzisiejszych bezsprzecznie najbardziej interesujące są wszelkie jakbym powiedział „kryzysowe", a zwłaszcza takie, które za cel sobie stawiają dostarczenie pewnego materjału do przemyśleń, — to też ze szczególną, skwapliwością przeczytałem Młynarskiego „Człowieka w dziejach" i Rybarskiego „Siła i prawo". Książki te zestawiam razem nietylko dlatego, że czytałem je jedną po drugiej, ale i dlatego, że mimo całkiem różnych tematów łączy je najwyraźniej pokrewieństwo treści, którą jest szukanie dróg do przyszłości i myśl o niej, tak widoczna u obu autorów.

Prac tego rodzaju ukazuje się teraz mnóstwo i nie każda potrafi dać materjał myślowy — raczej zbyt wiele tu beznadziejnej sieczki i frazesów. I dlatego przy czytaniu tych dobrych książek sprawa owych frazesów przedewszystkiem mi do rozważań się nasunęła. O nich więc chcę pisać, a nie o tysiącu innych spraw, chociażby ważnych i ciekawych. Nie będę więc np. pisał o monarchji i jej problemie, tak realnie ujętym przez p. Stojanowskiego, choć zrazu miałem na to wielką ochotę. Zaznaczę tylko, że godząc się z jego obserwacjami nie mogę się jednak zgodzić na stwierdzenie nieaktualności myślenia o monarchji. Uważam, że takie myślenie jest właśnie w naszym obozie i to tylko w naszym obozie na miejscu, — a u narodowca dążenie do monarchji, to tylko dążenie do monarchji narodowej, a więc możliwej jedynie bez żydów i dlatego niezbyt rychłej w realizacji, ale zresztą o tych sprawach już podobnie pisano, a ja je przecież wyłączyłem ze swoich rozważań.

Rzeczą bowiem nierównie ważniejszą jest samo myślenie o przyszłości — świadomość pokolenia, że żyje w czasach niecodziennych; jego wysiłek do ich przerobienia i poprawienia. To też sposób tego myślenia, jego jakość, jego rzetelność — jest czemś najistotniejszem, jest pierwszorzędną troską naszych czasów. Z kryzysu i chaosu, ze złego „dzisiaj" w lepsze „jutro" pójdziemy o tyle tylko, o ile nas tam nasz konsekwentny wysiłek mózgowy doprowadzi. A ten istotny wysiłek mózgu plącze się i degeneruje w powodzi frazesów, jakie wytwarza sobie przeciętność w poszukiwaniu łatwości.

Łatwiej bowiem o wiele tłumaczyć sobie coś wygodną formułką, już gotową, choćby zgrubsza tylko pasującą, niż starać się naprawdę rzecz zrozumieć. Wszystko wtedy jest proste i idzie jak po maśle, ale trochę na oślep. I w rezultacie, gdyby ci frazesowicze, lub ci, którym frazes wypaczył myśl, mogli, jakimś cudem, zobaczyć co będzie po latach, — zdziwiliby się bardzo tej rzeczywistości jaką bezmyślnem gadaniem przygotowują. Skłonność do entuzjazmu, właściwa polskiej naturze pcha do upajania się lapidarnemi określeniami naszego przełomu i pełno tego rodzaju haseł w „kryzysowej" literaturze.

I tu nim przystąpię do ich omawiania muszę najpierw wytłumaczyć swój tytuł, — dlaczego piszę w nagłówku o pokusach reakcji i rewolucji. Te pokusy to właśnie frazesy i to co one mózgom suggerują. Drogi rewolucji i reakcji są proste i nie wymagają wielkiego wysiłku. Wbrew wszelkim pozorom jest to w istocie pójście po linji najmniejszego oporu i prowadzi na nią nie tyle myśl, ile szablon. Jedynie przetworzenie, a więc ewolucja, jest mozołem.

Zastanówmy się nad pierwszą możliwością — reakcji. Słowo to jak tyle innych stanowi dzisiaj właściwie frazes najokropniej wytarty, którego sens niemal całkowicie się zagubił. Gorączkowe i różnorodne rewidowanie historji wywołało w głowach mąt, a odwrócenie ról w teraźniejszości, gdy tak zwani „postępowcy" są w istocie reakcjonistami, dokonało reszty. Co znaczą więc „pokusy reakcji", co to ma być?

Więc przedewszystkiem rozgryźć trzeba sło-

wo „reakcja”. Ma ono dzisiaj właściwie dwa sensy prawdziwe, te co z samej jego treści wypływają. Pierwszym jest wstecznictwo, cofanie się w przeszłość — to sens ujemny; a drugi dodatni, to przeciwdziałanie. Ten drugi sens wywołał ową wielką rehabilitację pojęcia, które jednak w swoim sensie tradycyjnym zrehabilitowane być nie może. I acz dzisiaj reakcjonistami są przedewszystkiem liberałowie, to nie waham się twierdzić, że pewne bakcyle reakcji drążą i obóz narodowy; — osnute są one koło frazesu: „powrót do średniowiecza”.

Przyznam się, że dla mnie trudno o większy nonsens, jak to głoszenie „powrotu do średniowiecza” i to o nonsens szkodliwy. Nie jest to bowiem niewinna igraszka słów, ale wypaczanie dziejowej ewolucji, co właśnie jest reakcją. Zastrzegam się, że jestem sympatykiem średniowiecza i oceniam w całej pełni jego ideały i jego sztukę. Nie razi mię też porównywanie średnich wieków z naszemi, ani nawet mówienie o „nowem średniowieczu”. Jak nowe to już nie to samo. Ale powtarzam, że opowiadanie o „powrocie do średniowiecza” jest — mojem zdaniem — rzeczą szkodliwą.

Mówi się wprawdzie, że wracanie do średniowiecza to tylko wracanie do jego ducha, że my realizować będziemy jego myśl inaczej, że o innym powrocie nawet marzyć nie można... To prawda i wszystko to słuszne, ale niebardzo w takim razie rozumiem po co tu mówić o średniowieczu. Ci co rozumieją ten frazes i ci co go ukuli, dlatego tylko chcą wrócić do średniowiecza, że wtedy światem rządziła myśl Boża, — ale wracanie do myśli Bożej nie jest wracaniem do średniowiecza; myśl ta jest wieczna, jej źródła tętnią i dzisiaj i nie jest ona czemś ściśle związanem z tamtym okresem. Ideję katolicką można realizować rozmaicie i w rozumowaniu, że powrót do Bożego pojmowania cywilizacji musi się pokrywać z powrotem tego, co było w okresie pierwszej tak pojętej cywilizacji — kryje się błąd zasadniczy. Inne czasy, inni ludzie i inne rozwiązanie problemu, ale myśl ta sama — oto problem katolicyzmu, problem ochrzczenia dzisiejszości.

I nim pójdę dalej w rozumowaniu, przytoczę jeszcze wyjątkowo wprost pouczający przykład historji, wykazujący znakomicie siłę zbawczą wracania do średniowiecza. Po rewolucji francuskiej nastąpił w umysłach zwrot i w okresie Świętego Przymierza zaczął się ciekawy *revival* katolicyzmu. Bonald, J. de Meistre, Haller, Chateaubriand występują do walki z „*superbe diabolique*” i wespół z innymi tworzą bardzo obiecujący zaczątek nowego ujęcia katolickiej ideologji. Ale ta pierwsza próba ochrzczenia, a tem samem radykalnego przerobienia cywilizacji czasów naszych przegrywa sromotnie, bo zanadto się zapatrzyła w cud średniowiecza i swoją misję pojęła jedynie jako powrót do jego pojęć i systemów. Baczmy więc dobrze, by i naszych usiłowań tak smutny koniec nie spotkał. Nie można się łudzić, że reakcja może być twórcza, nie może bowiem twórczem być coś co uchyla się od wysiłku, co nie chce tworzyć. Wykoleja ona tylko myśl, podsuwając błędne a łatwe rozwiązanie: zamiast pracy nad nowym porządkiem Bożym, skopjować dawny bez mozołu i bez pracy; posłużyć się cudzem, dawnem doświadczeniem bez jego przemyślenia, bez zastanowienia się, że to zwykle niemożliwe. — To właśnie jest niebezpieczeństwo reakcji o którem nasz ruch pamiętać musi.

Innego całkiem rodzaju jest drugie niebezpieczeństwo o którem mowa, a mianowicie niebezpieczeństwo rewolucji, uosobione w licznych, a popularnych frazesach o „szukaniu nowego człowieka”, o „ruchu młodych”, o „nowej Polsce” i tak bez końca, aż do owego największego o „narodowej rewolucji”. Kryje się w nich wszystkich wielka, o wiele większa od poprzedniej pokusa, i to pokusa w całej swojej odmienności równie groźna, choć reakcja i rewolucja to rzeczywiście ogień i woda.

O ile bowiem źródłem wszelkich nastawień reakcyjnych jest lenistwo myślowe, pewne niedołęstwo w tworzeniu sobie wizji nowego świata i stąd małoduszna ucieczka do pokrewnego, ale już bezpowrotnie przebrzmiałego ustroju, — o tyle do rewolucji pcha właśnie śmiała i arcywyraźna wizja przyszłości. Wizja tak wyraźna, tak żywa i tak wypracowana; tak umocniona, często aż nazbyt przesadną krytyką dzisiejszości, że jako jedyną drogę realizacji swych marzeń widzi zburzenie owego znienawidzonego „dzisiaj”. Zdaniem rewolucjonisty trzeba koniecznie burzyć, żeby tworzyć. Uprzednie dzieło zniszczenia jest tu niezbędną podstawą dalszego budowania. Żadna tradycja się nie liczy, bo „nowy człowiek” pragnie wszystko zacząć od nowa; co nie jest jego myślą i dziełem nie jest dobre; mierzi go przeszłość i jej pęta — on raczej woli pustkę niż cenny spadek, bo jego ceny nie dostrzega — to jakby swoisty barbarzyńca, czy naiwny zarozumialec, co tylko siebie i swoją mądrość rozumie.

Słowem — precz z tradycją! A gdy chodzi o narodowych rewolucjonistów, to ten organiczny impuls przewrotu nazywa się inaczej. Mówi się wtedy wiele o jakiemś odrodzeniu instynktów narodowych, o powrocie do jakiegoś mistycznego praducha rasy, o najgłębszej istocie narodu, którą wyzwala się właśnie burząc, bo odrzucając cały uznany za zgubny nalot bezlitośnie krytykowanych okresów dziejowych, które nieraz w tym czyścicielskim szale rozciąga się coraz bardziej wstecz na całe niemal dzieje, czystą istotę narodu widząc w nieurobionym przez historję i cywilizację prymitywie.

W tem, tak zdawałoby się, śmiałem i idącem do swoich celów, wbrew wszystkim i wszystkiemu — nastawieniu, kryje się jednak, jak i w owem reakcyjnem, pewne zasadnicze lenistwo, choć tym razem już nie tyle myśli co czynu. Jest to bowiem wprawdzie pewne uproszczenie sobie problemu w rozumowaniu przez pominięcie całego szeregu zjawisk i ich ryczałtową ocenę, ale przedewszystkiem jest to ułatwianie sobie realizacji przez bezmyślne zniszczenie całego dotychczasowego dorobku, który niczem szmelc bezużyteczny wyrzuca się na rumowisko dziejów. — Jest więc i tu owo partackie założenie, że czegoś naprawiać się nie opłaci, że lepiej to odrazu wyrzucić i samemu zabrać się do łatwiejszej, prostszej, a ostatecznie i milszej pracy tworzenia, choćby w tem nawet taiła się oczywista strata.

Ten pierwiastek upraszczającej partackości łączy więc reakcję z rewolucją, mimo wszelkich przeciwieństw, bo jednak „ostateczności się stykają”. A te nasze stykają się także i w tem, że obie są ślepe, czy może raczej jednostronnie w pewien kąt zapatrzone, — ale o ile reakcja nie widzi

przyszłości, której nie śmie dojrzeć, to rewolucja nie widzi przeszłości, której nie chce widzieć

Co z tego dwojga gorsze, trudno rozstrzygać; — poprostu złe jedno i drugie, bo jedno i drugie nierealne, choć do urzeczywistnienia niby możliwe. Chcieć wrócić do przeszłości jest taką samą utopją, jak chęć natychmiastowego skoku w przyszłość bez względu na „dzisiaj". Mit historji, która nie będzie jakimś dalszym ciągiem, ale wielkim początkiem czegoś całkiem nowego, to taka sama bajka, jak marzenie o wskrzeszeniu dnia wczorajszego. Żadna też rewolucja nie potrafiła oderwać się od swojej przeszłości, a żadna reakcja zapobiec nadejściu naprawdę innego jutra.

Powiedziałem, że rewolucja nie widzi przeszłości, — nie jest to zbyt trafne wyrażenie, bo ona ją widzi, a tylko jej nie rozumie, źle ją ocenia. Widzi w niej tylko zło i nie zdaje sobie sprawy z tego, że przeszłość nie jest martwa, ale żyje w dzisiejszości i przez tę dzisiejszość żyć będzie nawet w jutrze, że jej wymazanie jest niemożliwością i pracą syzyfową. Ale i w tem nawet kryje się podobieństwo obu skrajnych kierunków, co oba (każdy na swój sposób) uciekają od teraźniejszości, cofając się przed jedynie twórczym trudem jej przerabiania, zakłamując się, że można z tem znienawidzonem „dzisiaj" zerwać. Myśl jest tu wspólna, tylko wykonanie inne, choć na podobne manowce dziejowe wiodące. Potępiany okres dziejowy reakcja chce wymazać cofnięciem się do „wczoraj" — a rewolucja zniszczeniem zarażonego „dzisiaj", które jednak i jednej i drugiej pokonać całkowicie się nie daje.

Możnaby snuć dalej jeszcze tę nić przerozmaitych rozważań o owem najciekawszem zagadnieniu historji, tak wiecznem jak niecierpliwość człowieka w dążeniu do umyślonych celów, — lepiej jednak urwać tę dyskusję, tembardziej, że w naszych warunkach nie wyczerpuje ona zagadnienia. Nie można bowiem pisać o frazesie narodowej rewolucji bez jednoczesnego zaznaczenia, że w znacznym stopniu jest on naśladownictwem obcych wzorów.

Chodzi mi o to, że wielkie powodzenia faszyzmu i hitleryzmu i ich osiągnięcia państwowo-polityczne musiały wywrzeć swój urok na nasz ruch, który efektem praktycznym uprzedziły. Jest to aż nadto zrozumiałe i ostatecznie trudno negować, że w obu tych eksperymentach kryją się pewne doświadczenia i dla nas, że rzeczywiście one mogą być wzorami. Z drugiej strony jednak tam, gdzie chodzi o realizowanie państwa narodowego, a więc jakichś własnych koncepcyj ustrojowo-społecznych, cudze doświadczenia z natury swojej nie są zbyt zastosowalne i obce wpływy raczej szkodliwe. To też abstrahując od wszelkich ocen tak pokrewnych ideowo prądów jak faszyzm i hitleryzm — należy jednak stwierdzić, że dla nas przedewszystkiem są one lekcjami, czego przy realizacji państwa narodowego robić nie należy i czego w tej pracy trzeba unikać. Pozytywne ich doświadczenia są o wiele dla nas skromniejsze i ustrój Polski narodowej musimy sami sobie wyobrazić. Możliwości wszelkich recepcyj są tu bardzo ograniczone, a tragikomedją przecież byłoby robienie narodowej rewolucji po to, by kopjować jakiś faszyzm, czy hitleryzm. Słowem trzeba samemu przyszłość Polski tworzyć, nie stronić przed wysiłkiem myślowym i nie uciekać się do jeszcze jednego partactwa—kopjowania i kalkowania Uwagi o tem w książce profesora Rybarskiego są bardzo na czasie i z wielką uwagą powinny być czytane.

Na tem właściwie byłby już wyczerpany temat naszych rozważań — dwie rzeczy jeszcze tylko trzeba koniecznie zaznaczyć. A więc po pierwsze zwrócić uwagę na to, że rewolucja nie jest wcale jednoznaczna z przewrotem politycznym, mając właściwie sens szerszy i o wiele głębszy od niego, skoro chodzi w niej o nastawienie psychiczne, o stosunek myślowy do szeregu zagadnień. Można przecież nieraz robić najprawdziwszą rewolucję będąc władcą prawowitym, że wskażę tylko na przykład Piotra I w Rosji i można też obalić w krwawej walce ulicznej jakiś rząd nie robiąc potem żadnej rewolucji. Tych dwu rzeczy nie należy więc stanowczo mieszać, co dla nas tembardziej szkodliwe, że w naszych warunkach tylko przewrót jest nieunikniony, a za to rewolucje i problematyczne i niepotrzebne.

Druga uwaga z kolei — to stwierdzenie, że istotną cechą rewolucji nie jest bynajmniej rozmiar zmian przyniesionych, ale przedewszystkiem ich nagłość, wywołana ową niecierpliwością, tak charakterystyczną dla jej psychicznego nastawienia. Tak zwane epoki „wielkich reform", jak np. u nas czasy stanisławowskie, choć w swoich skutkach nieraz ważniejsze od rozmaitych rewolucyj— (dla przykładu: w Anglji Cromwell i jego dzieło i wielka reforma parlamentu w początku XIX wieku) nie są jednak nigdy rewolucjami i ludzie reform nie mają nigdy psychiki rewolucjonistów, choć i ich żywiołem jest zmiana i walka o lepszą treść. Dążą oni jednak do poprawy, do przebudowy, nie negując ani przeszłości, ani dnia dzisiejszego, choć w duszach mają równie jasny i wyraźny obraz jutra. To też między skrajnemi manowcami reakcji i rewolucji leży jedynie słuszna możliwość gruntownych reform i zbiorowego wysiłku zmierzającego do naprawy — i na tę właśnie drogę Polska narodowa winna wkroczyć.

KAROL STEFAN FRYCZ

TYPOWY ANGLIK W POLSCE

ROK ubiegły i początek bieżącego przyniosły kilka angielskich książek o nas — jedna z gazet zebrała je nawet w dziale recenzyjnym pod szumnym tytułem *All about Poland* (Wszystko o Polsce). Mniej tu interesują rzeczy pisane przez Polaków (np. o naszych zagadnieniach ekonomicznych przez prezesa Banku Gospodarstwa Krajowego), bardziej to, co piszą Anglicy. Postanowiwszy sobie tedy sprowadzić jedną z tych książek, orjentowałem się wedle recenzyj i wybrałem rzecz, której autor wydał mi się najbardziej typowym Brytyjczykiem. Można przecież przypuszczać, że myśl jego przeciętnego rodaka pójdzie temi samemi torami, że zresztą sama książka najbardziej trafi do przekonania czytelnikom i największej znajdzie oddźwięku.

I zdaje mi się, że wybór mój był trafny. Padł on na książkę Bernarda Newmana „Na rowerze przez Polskę" *(Pedalling Poland.* Londyn, Jenkins, 1935). Autor urządza sobie prawie co roku takie

wycieczki. Owocem ich były wydane dawniej opisy i wrażenia „Szlakiem trzech muszkieterów" i „Modry Dunaj" oraz publiczne wykłady.

Do Polski przybył Newman przez Gdańsk, zwiedził Pomorze i Wielkopolskę, z Poznania dotarł do Warszawy, dalej przez Łódź i Katowice do Krakowa, wstąpił do Zakopanego, stamtąd jego wierny przyjaciel, którego żartobliwie ochrzcił Jerzym, zawiódł go na Mińszczyznę, dalsza droga wiodła przez Równe, Pińsk i Wilno ku „zakazanej granicy litewskiej", potem ku morzu przez Litwę i Prusy Wschodnie.

Jak powiedziałem, Mr. Newman jest bardzo typowym Anglikiem. Widać to np. w antytalencie językowym. Już na okręcie próbował uczyć się po polsku, ale zraziła go — fleksja. Oburza się na zmienną formę nazwisk i demonstruje ją na ukutem przez siebie nazwisku Smithski. Dlaczego żona ma nazywać się Smithska, a córka Smithskówna? Tego Newman nie zdołał pojąć. Ostatecznie dał za wygraną i przyswoił sobie tylko ok. 200 słów najpotrzebniejszych, a z budowy zdań rezygnował. Dźwięki, które trudno Anglikowi wymówić, śmieszą go poprostu. Podaje transskrypcję Przemyśla—Pshaymizzle, przypominając mi, jak raz w banku londyńskim w przeciągu pięciu minut uczyłem urzędnika poprawnej wymowy nazwy mego rodzinnego miasta (z wyjątkiem ś).

A niech zdarzy się wyraz, który coś znaczy po angielsku! Podróż na Hel miała dla Newmana szczególny urok, ponieważ zwrot *Go to hell* jest przekleństwem (Anglik posyła w gniewie nie, jak my, do djabła, ale do piekła). Widząc napis „Lody", Newman przemawiał do sprzedawców „Mr. Lody" lub „Miss Lody".

Tak przynajmniej mówi — bo może tylko chce swoim kosztem zabawić czytelnika. Lubi bowiem żartować. Czasem mu się coś uda — np. gdy czyni Zakopanemu dwa zarzuty, mieszczące się w słowach: pogoda i taksa klimatyczna. Często jednak dowcip jego wydaje się nieco dziecinny lub sztuczny. Newman słyszał, że koło Kartuzów jest 173 jezior, ale naliczył tylko 172. Generalizując fakt niewątpliwy, ale o częściowem tylko znaczeniu, wywodzi Huculów od szlacheckich wywołańców. W związku z tem opisuje swój pobyt w chłopskiej zagrodzie niejakiego Czartoryskiego. Nazwisko bawi go widocznie, a przytaczając je, Newman dodaje za każdym razem inny tytuł angielskiej *nobility* (od lorda do księcia). Mam też podejrzenia co do pewnych przygód, np. co do atletycznego występu we Lwowie w towarzystwie wędrownych hecarzy, którym zachorował jeden z towarzyszy. Może Mr. Newman puścił tu wodze swej wyobraźni dla nadania książce większej barwności.

Lecz w relacjach o kraju, zabytkach i stosunkach jest on napewno prawdomówny i szczery. Pewnych rzeczy nie rozumie i myli się co do nich. Brak mu zmysłu historycznego, co jest również typowe, i powtarza podania, jakby fakta. Do Morskiego Oka szedł w taką mgłę, że mówi o „szczycie Zawratu!" Gdzieniegdzie można stwierdzić, że go „bujano" — miewa towarzyszy oficjalnych i nieoficjalnych. W Warszawie dostał się pomiędzy kilku posłów (widocznie nowego typu), którzy koniecznie chcieli, aby im coś powiedział o możliwości uzyskania przez Polskę mandatu nad Palestyną (co im się wydawało równoznaczne z rozwiązaniem kwestji żydowskiej)... Ale często objawia Newman zdrową nieufność. „Najnowsza historja Polski",—mówi,—„nie jest tak podniecająca, jak dawna, więc muszą ją polerować i robić romantyczną".

Mr. Newman prawdopodobnie nie jest człowiekiem wierzącym, a może jako anglikanin ma uprzedzenie do obrzędów i pielgrzymek. Stąd niewiele nastroju w jego opisie Częstochowy, choć imponuje mu gorąca wiara ludzi. Natomiast robi trafną uwagę o „szakalach", sprzedających w pobliżu Jasnej Góry dewocjonalja i pamiątki. Z angielską praktycznością proponuje, aby Paulini wzięli ten handel we własne ręce. „Dlaczego Bogu ducha winni chrześcijanie mają być strzyżeni przez grzeszników, a nawet przez żydów?"—pyta z pełną słusznością.

Wogóle ten cyklista angielski ma dużo zdrowego rozsądku. Warto przytoczyć, co mu się nie podobało w Polsce. Przy opisie cytadeli warszawskiej mówi: „Polacy wolą raczej żyć swojem męczeństwem, niż zwycięstwami... Ten kult cierpienia może nie wydać się zdrowym człowiekowi zachodniemu; naprawdę potrafią go zrozumieć jedynie w Irlandji. Lecz to w istocie wyjaśnia dużo — że gdzie Anglik myśli o Waterloo i o Trafalgarze, tam Polak myśli o powstaniach przeciw zaborcom- które wszystkie kończyły się beznadziejnie klęska, mi. Jeżeli to zapamiętacie, będziecie mieli wyjaśnienie wielu rzeczy z zakresu politycznych dążności Polski". W tym ustępie wspomina Newman tylko mimochodem o „pewnych usiłowaniach wskrzeszenia romantycznych wspomnień wczesnej sławy". Widać, w jakich kołach się obracał. O Chrobrym, o Batorym, o Sobieskim — tak, jakby nie słyszał. Zato ustawicznie reprodukuje to, co mu opowiadano o najnowszych czasach.

Przykra jest inna uwaga. Newman był na Pomorzu świadkiem wypadku. Na drodze leżał ranny, a ludzie stali wkoło bezradni, póki on nie zorganizował pomocy. Dopiero wówczas zaczęli chętnie spełniać jego zarządzenia. A więc „nie brak współczucia był powodem, ale brak inicjatywy". Ktoś sprowadził lekarza Niemca i razem z Newmanem opatrzyli rany. Lecz Niemiec nie omieszkał wyzyskać sposobności do propagandy: „Mówicie o mniejszościach i o Polakach. No, widzi pan tu, co to znaczy. Polak jest w rozpaczliwem położeniu i kto go z niego wydobywa? Anglik i Niemiec. Proszę nad tem pomyśleć". I Newman przyznaje mu, choć z pewnemi zastrzeżeniami, słuszność.

Później pośpieszył on na ulicy Wilna z pomocą epileptykowi, który, padając, złamał kość nosową. Ludzie przechodzili obojętnie koło leżącego, a pani, towarzysząca Newmanowi, sądziła, że to pijany. Gdy Anglik pochylił się nad nieszczęśliwym, wkoło zebrała się grupa ciekawych. Nadszedł policjant, ale ten „jak się zdaje, nie śmiał udzielać doraźnej pomocy", odsunął tylko zawadzających gapiów. Wyszedł z apteki jej właściciel, nie zgłosił się jednak z pomocą, a gdy Newman zażądał bandaży, spytał się, kto za nie zapłaci. „Trzeba dla sprawiedliwości zaznaczyć, że był to żyd, nie Polak". W każdym razie Newmana niemile dotknął cały epizod i mówi on, że tylko Anglicy uczą się od dzieciństwa spełniać swój obowiązek w takich okolicznościach, a „pośród wyższych ras kontynentu ludzie pomagają sobie wzajemnie, ponieważ zbliżają się do ideałów brytyjskich". Może duma narodowa autora jest uspra-

wiedliwiona, ale wiedzie go do niezupełnie słusznych przeciwstawień, a w podziale na rasy wyższe i niższe odbijają się zapewne najnowsze teorje niemieckie.

Newman dąży jednak do bezstronności. Przyznaje np. górnikowi polskiemu wyższość nad angielskim, stwierdzając, że pierwszy wydobywa w czasie jednej szychty 1410 kg. węgla, drugi tylko 1169 kg. Nie sprawia mu to porównanie przyjemności.

Przejdźmy jednak do zagadnień, na których szczególnie musi nam zależeć. Co myśli ten typowy Brytyjczyk o naszych granicach? Nie jest bynajmniej nieżyczliwy, zresztą wszędzie stara się zastosować probierz zdrowego rozsądku. Musiał jednak naczytać się dużo bibuły propagandowej naszych wrogów. Stąd widać u niego pewną chwiejność sądu. Naprzód przyznaje nam słuszność, a potem chce, abyśmy robili ustępstwa w imię pokoju. Jest i pod tym względem typowym Anglikiem powojennym, że straszy go wciąż widmo nowej zawieruchy światowej.

Wjechawszy na Pomorze (czyli „kurytarz"), Newman zadał sobie dwa pytania: — czy Kurytarz jest polski i czy był polski przed wojną. Pierwsze łatwo było rozstrzygnąć na naszą korzyść. Ale jak tu dać sobie radę z drugiem? Newman słyszał ustawicznie sprzeczne zdania od Polaków i od Niemców, więc nie wierzył nikomu. Wymyślił sposób, przynoszący zaszczyt zarówno jego zmysłowi praktycznemu, jak cierpliwości. Chodził po cmentarzach i dzielił sobie napisy na nagrobkach na siedm kategoryj: 1) niemieckie nazwiska z niemieckiemi słowami; 2) polskie nazwiska z polskiemi słowami; 3) polskie nazwiska z niemieckiemi słowami; 4) niemieckie nazwiska spolszczone; 5) polskie nazwiska zniemczone; 6) nazwiska nic nie mówiące. Okazało się, że na dużym obszarze między Gdynią a Bydgoszczą „polskie nazwiska z polskiemi słowami górują liczbą nad wszelkiemi innemi kategorjami, wziętemi razem". Stąd wniosek: „Polski kurytarz był polski" już przed wojną. Newman dodaje także słuszne zdanie: „Dla Niemiec kurytarz jest kwestją dumy narodowej, dla Polski kwestją bytu".

Mimo tego wszystkiego Newman okazuje brytyjską tendencję do porządkowania świata w imię rzeczywistego pokoju. Jest to psychika narodu zdobywców, którzy chętnie występowali w roli arbitrów. Niemcy narzekają i grożą, zatem trzeba coś dla nich zrobić. A więc: natychmiastowe sprostowanie granic, w szczególności dostęp do Wisły i wyraźna obietnica powrotu do Rzeszy Gdańska „bez niepotrzebnego i drażniącego plebiscytu". Miałoby to stać się w r. 1945 lub 1950, a Polska zatrzymałaby pełne prawo tranzytu i prawa morskie, Niemcy zaś poręczyłyby nienaruszalność „kurytarza".

Czy ta gwarancja miałaby jakąś wartość? — zadaje sobie pytanie Newman. Odpowiada twierdząco. Dałaby Polakom moralne poparcie świata i Anglji... Gdy Newman pisał przed kilku miesiącami, nie wiedział zapewne, na ile to poparcie można cenić, ale my wiemy dzisiaj, gdy marszałek Badoglio jest wicekrólem Etjopji a Niemcy fortyfikują Nadrenję...

W sprawie Górnego Śląska Newman nie przeprowadzał tak szczegółowych badań. Jego wiadomości o powstaniach i plebiscycie mają wyraźnie zabarwienie niemieckie—słyszymy o „terrorystycznych metodach nieregularnych wojsk Korfantego", ani słowa o terrorze drugiej strony. Ostatecznie jednak Newman zestawia argumenty polskie i niemieckie, a sam wstrzymuje się od sądu. Może trochę działa na niego fakt, że „ponieważ większą część kopalń przyznano Polsce, Katowice teraz poważnie współzawodniczą z Newcastle".

Wobec kwestji żydowskiej Newman wyjątkowo opuszcza bezradnie ręce. „Gdyby mi dano władzę dyktatorską, potrafiłbym rozwiązać każdy inny problem Polski" — woła z rozbrajającą pewnością siebie, — tylko nie ten. Rozumie doskonale, że Palestyna za mała, a jeszcze lepiej, że wyparcie z niej Arabów na wieki poróżniłoby imperjum brytyjskie ze światem muzułmańskim. Przypomniał zresztą wspomnianym powyżej posłom jeden z punktów deklaracji Balfoura, obiecujący ochronę ludności arabskiej. Więc trzebaby chyba „500 miljonów funtów sterlingów i odpowiedniej kolonji". Cóż, kiedy nie mamy ani jednego ani drugiego...

Przy bytności we Lwowie porusza znów Newman kwestję ruską. Mówi o „Ukraińcach, lepiej znanych w Anglji jako Rusini *(Ruthenes or Ruthenians)*". A więc nikt mu nie wytłumaczył, że znaczna część Rusinów z oburzeniem zastrzegłaby się przeciw temu, aby ich nazywać Ukraińcami! To także bardzo znamienne, ale dla obecnego kursu naszej oficjalnej polityki.

Mimo braku tak prymitywnej i podstawowej informacji Newman ujmuje sprawę bardzo trafnie. Oto dotyczący ustęp:

„Ale czego właściwie chcą Ukraińcy? Zadawałem to pytanie po sto razy i zawsze otrzymywałem tę samą odpowiedź: Niezawisłości. Wtedy pytałem się, co rozumieją przez niezawisłość — i otrzymywałem sto różnych odpowiedzi. Polscy Ukraińcy nie są komunistami i nie chcą złączyć swych losów z Rosją. A przecież pragną złączyć się napowrót z Ukrainą, która jest częścią U. S. S. R. Prawda, że żąda się równocześnie, aby Ukraina uniezależniła się od Rosji — co jest jeszcze nieprawdopodobniejsze, niż żeby Polska miała uwolnić Galicję Wschodnią. Nie mogę wyobrazić sobie Rosji, oddającej Ukrainę, swój żyzny śpichlerz i główny teren węglowy. Ukraińcy wydali mi się Irlandczykami Polski — nie wiedzą, czego chcą, ale nie będą szczęśliwi, póki tego nie dostaną".

Dodaje Newman jednak natychmiast, że ta analogja nie jest prawdziwa, bo Irlandja w przeciwieństwie do Ukrainy miała własną historję i kulturę.

Najtrudniej Newmanowi rozgryźć sprawę Wilna. Znowu notuje on skrzętnie poglądy obu stron, ale największe wrażenie wywarł na niego sposób zajęcia przez Polskę miasta w r. 1920. Nie może nam tego zapomnieć. Odczuł też jako coś sprzecznego z naturą „zakazaną granicę", przez którą tak trudno się przedostać. I angielski cyklista zabawił się w dyplomatę:

„Doszedłem do wniosku, że znaczna regulacja granic jest rozsądna i możliwa. Szczególnie w sąsiedztwie Olkienik i Oran możnaby oddać macierzystemu krajowi całe tuziny wsi litewskich. Miałem prywatne sposoby zbliżenia się do rządu polskiego. Gdy więc potem przybyłem do Kowna, zaproponowałem nieformalnie, że poproszę o ponowne poruszenie zagadnienia na tej podstawie. Mieściłoby się tu formalne wyrzeczenie się przez Litwę pretensyj do Wilna, ale pozatem było rzeczą pew-

ną, że można obiecać wydatną rewizję granicy. Moje propozycje odrzucono grzecznie, ale stanowczo i z miejsca; w sprawie Wilna — powiedziano mi — nie może być kompromisów".

Przecież proszono nawet Newmana, aby nie mówił o obecnej granicy jako o granicy, lecz jako o „tymczasowej linji administracyjnej" (!)

Jednem słowem to niepoważne pośrednictwo spełzło na niczem. Newman kończy melancholijnem nieco stwierdzeniem faktu: „Z czysto praktycznego punktu widzenia nie widzę najmniejszej nadziei, ażeby Wilno miało wrócić do Litwy".

Widzimy, że brytyjski turysta mimo zdrowego rozsądku i niewątpliwego dążenia do bezstronności niekiedy poddaje się uprzedzeniom, które tak długo i tak starannie zaszczepiano Anglikom. Zresztą nie tai on sympatji, a czasem uwielbienia dla Niemców, których nauczył się szanować jako nieprzyjaciół na froncie francuskim. Można symboliczne znaczenie przypisywać okoliczności, że przyjechał do Polski przez Gdańsk, wyjechał przez Prusy Wschodnie. Ani nie przeszło mu przez myśl, że jak Niemcy roszczą sobie pretensje do polskiego Pomorza i Śląska, tak Polska mogłaby na podstawie przyczyn historycznych i ekonomicznych zażądać właśnie Gdańska i Prus Wschodnich.

Newman z pewnem rozrzewnieniem rozmawiał w pobliżu Królewca ze starym junkrem, który stracił na wojnie dwu synów i narzeczonego córki. Zwiedzał pole bitwy pod Tannenbergiem i daje krótki jej opis (nie wspominając o Grunwaldzie). Wogóle często okazuje swój podziw dla Niemców. Będąc w Przemyślu rozmyślał nad tem, że Rosjanie oblegali miasto dwukrotnie, za drugim razem przez 18 tygodni, zanim wzięli je głodem, a Niemcy później odebrali je po trzydniowej walce. Święta prawda, ale przecież wtedy już 72 fortów, broniących Przemyśla, nie istniało, bo wysadzili je w powietrze Austrjacy przed kapitulacją.

Może jednak zbyt długo pozostaję przy ujemnych stronach książki, Newman jest krytycznie wobec nas usposobiony, ale po swojemu życzliwy. Zachwyca się Wawelem i Starem Miastem — dodając słusznie, że najlepiej przedstawia się ono o zmierzchu, gdy zbyt żywe barwy zbledną. Zachwyca się inteligencją Polek (uroda mniej przypadła mu do gustu), imponuje mu Gdynia, chwali uprzejmość władz, wreszcie zaznacza, że przez całą swą długą podróż od nikogo nie usłyszał słowa, na coby, jak otwarcie przyznaje, nie mógł liczyć w Anglji. Krótko mówiąc, algebraiczna suma jego wrażeń i uwag jest dodatnia, a książka mimo wskazanych ustępów, niesympatycznych Polakowi, oddziała naogół dodatnio i więcej zapewne dla nas warta, niż zamawiane wydawnictwa, w których każdy czytelnik angielski po kilku stronach odczuje płatną propagandę.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

O TABLICĘ KU CZCI RZECKIEGO

I

PORUSZAŁEM już tę sprawę przed kilku laty tonem żartobliwym w fejletonach dziennikarskich p. t. „Bawmy się Lalką", zamieszczonych gwoli r o z r y w k i czytelników w „Gazecie Warszawskiej" (w r. 1932), ale czemużby sprawy tej nie poruszyć tonem poważniejszym, na łamach czasopisma literackiego, zwłaszcza że trafia się po temu stosowna okazja: przed kilku dniami, w dniu 19 maja, w dwudziestą czwartą rocznicę śmierci Aleksandra Głowackiego, odsłonięto w kościele Św. Krzyża, a zatem w tym kościele, gdzie kwestowała niegdyś Izabela Łęcka i gdzie Wokulski spotkał późniejszą Magdalenkę[1]), tablicę pamiątkową ku czci Bolesława Prusa. Społeczeństwo polskie jest w tej chwili za ubogie, żeby pamięć autora „Lalki" uczcić spiżowym posągiem. Gdyby Prus żył, samby napewno zaprotestował przeciwko takiemu wydatkowaniu grosza publicznego, niezbędnego dzisiaj przedewszystkiem na cele wojskowe. Ale wszyscy czujemy, że tablica świętokrzyska to za mało, że pamięci wielkiego pisarza należy się od Warszawy znacznie więcej, że przypadające w roku przyszłym ćwierćwiecze jego zgonu powinna stolica uczcić uroczystością zakreśloną na szerszą skalę, niż intymny niemal w porównaniu z pogrzebem Prusa (i z innemi przejawami żałoby narodowej) obchód tegoroczny.

Na posąg godny duchowego olbrzyma zdobędziemy się prawdopodobnie nie rychło. Ale moglibyśmy bardzo tanim kosztem wmurować przy dobrej woli skromniutką bodaj, kamienną tablicę na tym domu przy ulicy Wilczej, w którym Prus umarł. Moglibyśmy również opatrzeć skromniutkiemi bodaj kamiennemi tablicami te dwa domy na Krakowskiem Przedmieściu, w których mieszkali dwaj naczelni bohaterowie „Lalki": Wokulski i Rzecki. Skoro przed paru laty Hiszpanja mogła w podobny sposób uczcić cerwantesowskiego Don Kichota, skoro w Anglji opatrzono pamiątkową inskrypcją lokal w którym dickensowski Mr. Pickwick bankietował z przyjaciółmi, czemuż nie mielibyśmy poświęcić tablic pamiątkowych owym dwu postaciom fikcyjnym wprawdzie, ale przez wpływ, jaki wywierają na pokolenia czytelników, bardziej zasłużonym, niż wielu działaczy rzeczywistych. *Notabene* postaciom będącym powieściowemi inkarnacjami samego Prusa, który zarówno w Rzeckim jak w Wokulskim odmalował przedewszystkiem samego siebie, bez względu na to że tych czy owych cech zewnętrznych zapożyczył od innych modeli.

Nie opatrzymy oczywiście tablicami pamiątkowemi domów, w których mieszkały owe modele.

[1]) W „Lalce" nie jest wyraźnie powiedziane, że kościół, w którym kwestuje Izabela Łęcka, to kościół Św. Krzyża. Nie ulega jednak wątpliwości, że ten właśnie kościół, a nie żaden inny, Prus miał na myśli. Pisze on: „Co to za ogromny gmach, który zamiast kominów ma wieże..." Bernardyni posiadają tylko jedną wieżę, Prus zaś używa *pluralis*. O pomyłce zecerskiej nie może być mowy, gdyż Prus napisał „kominów". Trudno przypuścić, żeby korektorzy „Lalki" pozostawili aż dwie pomyłki w jednem zdaniu, w szeregu wydań. Kościoły Wizytek i Karmelitów nie posiadają wież wcale. („Latarń" na fasadzie Karmelitów za wieżę uznać nie podobna). Pozatem ani Wizytki, ani Karmelici nie robią wrażenia gmachów ogromnych. Jedynym kościołem w okolicy sklepu Wokulskiego (i mieszkania), który wrażenie takie sprawia, jest kościół Św. Krzyża. Nie łatwo sobie wyobrazić, żeby Wokulski paradował w biały dzień po Krakowskiem Przedmieściu z Magdalenką, gdyby zawarł z nią znajomość w którejś z dalszych od swego sklepu świątyń.

Tablice pamiątkowe możemy wmurować jedynie na tych domach, w których Prus umieścił mieszkania swoich bohaterów. Ponieważ On nie krępował się faktem, iż w rzeczywistości mieszkania owe były zajmowane przez innych lokatorów, my również nie mamy najmniejszego powodu, aby się tym faktem krępować.

II

Gdzież mieszkał i umarł Ignacy Rzecki?

Wokulski urządził mu mieszkanie w lokalu parterowym od podwórza, przylegającym do „nowego sklepu", sklep ów zaś mieścił się na Krakowskiem Przedmieściu pod nr. 7.

Można udowodnić cytatami z „Lalki", że Prus tam właśnie ów sklep ulokował.

Panna Izabela Łęcka, jadąc w siódmym rozdziale powozem od strony Alei Ujazdowskich, na „Krakowskiem już zdaleka zobaczyła szyld z napisem J. Mincel i S. Wokulski, a o jeden dom bliżej nowy, jeszcze niewykończony sklep o pięciu oknach frontu, z lustrzanemi szybami".

Ze zdania owego możemy się domyślać, że ów szyld musiał wisieć bądź co bądź w niezbyt wielkiej odległości od wjazdu w Krakowskie Przedmieście (pomimo że Izabela zauważyła go „już zdaleka"), skoro był pierwszym przedmiotem zauważonym przez pannę Łęcką na tej ulicy.

Zanim rozstrzygniemy ostatecznie kwestję, czy szyld ów wisiał bliżej kolumny Zygmunta, czy też bliżej posągu Kopernika, zadajemy sobie pytanie, po której stronie mieściły się obydwa sklepy Wokulskiego? Po tej, po której stoi Uniwersytet, czy też po tej po której stoi kościół Św. Krzyża? Po „parzystej", czy po „nieparzystej"?

Otóż każdy chyba z czytelników zgodzi się ze mną, że zarówno w dzień, jak w nocy, „nieparzysta" strona Krakowskiego Przedmieścia jest stosunkowo znacznie ludniejsza od strony „parzystej". Że zarówno w dzień, jak nawet w nocy, daleko więcej przechodniów mijamy po tej stronie, po której stoi kościół Św. Krzyża, niż po tej po której stoi Uniwersytet.

Do dzisiejszego dnia po stronie „parzystej" panuje tak słaby ruch handlowy, że wyobrazić tam sobie wielkiego magazynu, rojącego się od klijentów, w epoce przed wybudowaniem Bristolu i domu w którym się mieści łaźnia „pod Messalką", poprostu niepodobna. Należy zatem przypuszczać, że sklepy Wokulskiego mieściły się po stronie „nieparzystej". Poszukajmy teraz w „Lalce" dowodu, któryby potwierdził, że tak było istotnie.

Dowód na to znajdujemy w rozdziale ósmym. Wokulski wyszedłszy ze sklepu starego, aby udać się na swą pamiętną przechadzkę wzdłuż Powiśla, idąc Krakowskiem Przedmieściem, „poczuł jakąś niewygodę, lecz dopiero zastanowiwszy się, osądził, że męczy go ciągłe ustępowanie z drogi, przeszedł więc na drugą stronę ulicy, gdzie ruch był mniejszy".

Jeżeli zaraz po wyjściu ze sklepu, przeszedł z bardziej ludnej strony ulicy na mniej ludną, to nie ulega wątpliwości, że ów sklep mieścił się nie po stronie „parzystej", lecz po „nieparzystej".

Skorośmy to ustalili, ustalmy teraz, czy sklepy Wokulskiego mieściły się pomiędzy pomnikiem Kopernika, a Hotelem Europejskim, czy też między Hotelem Europejskim a Kolumną Zygmunta.

Gdyby się mieściły (oczywiście po „nieparzystej" stronie ulicy) pomiędzy Hotelem Europejskim a Kolumną Zygmunta, to Wokulski, żeby dojść do ulicy Karowej, musiałby, wyszedłszy ze swego sklepu, skręcić (przed przejściem na drugi chodnik) w stronę prawą, bo skręcając na lewo, poszedłby w stronę Placu Zamkowego. Skręcić w lewo mógłby tylko w tym wypadku, gdyby sklepy jego mieściły się po „parzystej" stronie ulicy, ale wówczas nie potrzebowałby przechodzić na drugi chodnik, gdyż ulica Karowa łączy się właśnie z mniej ludną, „parzystą" stroną Krakowskiego Przedmieścia.

Mam rację, czy nie mam racji?

Skoro więc na samym początku ósmego rozdziału czytamy wyraźnie, że:

„Znalazłszy się na ulicy, Wokulski stanął na chodniku, jakby namyślając się dokąd iść? Nie ciągnęło go w żadną stronę. Dopiero, gdy przypadkiem spojrzał w prawo, na swój nowowykończony sklep, przed którym już zatrzymywali się ludzie, odwrócił się ze wstrętem i poszedł w lewo", skoro o kilkanaście wierszy niżej mamy wydrukowane czarno na białem: „przeszedł na drugą stronę ulicy, gdzie ruch był mniejszy", skoro wreszcie o półtora strony dalej stoi, jak wół: „skręcił w ulicę Karową", to śmiało możemy wnioskować, iż sklepy Wokulskiego mieściły się nie pomiędzy Hotelem Europejskim a Kolumną Zygmunta, lecz pomiędzy Hotelem Europejskim a pomnikiem Kopernika. Nie w okolicy Resursy Obywatelskiej, lecz w okolicy kościoła Św. Krzyża. Na poparcie powyższego twierdzenia można przytoczyć jeszcze fakt, że Wokulski z przechadzki po Powiślu wrócił do sklepu ulicą Oboźną. Gdyby sklepy jego mieściły się w okolicach Resursy Obywatelskiej, to prawdopodobnie obrałby drogę powrotną przez ulicę Bednarską albo przez Zjazd.

Ale dość „gdybania". Postarajmy się teraz wyśledzić pod którym numerem mieścił się nowy sklep a pod którym stary. Uda się to nam łatwo, ponieważ wiemy, iż nowy sklep posiadał pięć okien frontu.

Otóż pod numerem pierwszym nie mógł się mieścić żaden z owych sklepów, ponieważ dom ten z jednej strony przylega do kościoła Św. Krzyża, z drugiej zaś do kamienicy Zamoyskiego, która stoi już na Nowym Świecie, wiemy zaś, że obydwa sklepy mieściły się na Krakowskiem Przedmieściu, nowy „o jeden dom bliżej" od starego. Niemożliwą również wydaje mi się rzeczą, żeby którykolwiek z tych sklepów mieścił się pod numerami trzecim lub jedenastym. Niemożliwą dlatego, że numer trzeci to gmach dawnego rosyjskiego Gimnazjum Trzeciego (teraz Gimnazjum imienia Św. Stanisława Kostki). W gmachu owym nigdy nie było żadnego lokalu sklepowego, Prus zaś miał umysł ścisły i wyobraźnię zbyt realistyczną, żeby umieszczać sklep w gmachu na ten cel się nienadającym. Pod numerem jedenastym zaś za czasów „Lalki" wznosił się (zburzony dopiero przed paru laty) budynek należący do władz wojskowych, znany pod nazwą Kuźni Saskich. W urzędowym owym budynku (na którego miejscu zbudowano niedawno Hotel Oficerski) również sklepów nigdy nie było. Do celów handlowych,

podobnie jak numer trzeci, zupełnie się nie nadawał. Ponieważ numerami wyższemi, niż jedenasty, nie mamy potrzeby się zajmować, gdyż opatrzone niemi domy stoją poza linją ulicy Karowej, pozostał nam do zbadania tylko ten odcinek Krakowskiego Przedmieścia, który się znajduje pomiędzy ulicami Traugutta (dawniej Hrabiego Berga), a Królewską. Stoją na tym odcinku po stronie „nieparzystej" trzy domy: numery piąty, siódmy i dziewiąty. Gdyby (przepraszam że „gdybię", to już ostatni raz), gdyby, dajmy na to, stary sklep Wokulskiego mieścił się pod numerem piątym (w pałacu Raczyńskich), toby panna Izabella Łęcka, jadąc powozem w kierunku Kolumny Zygmunta nie mogła zobaczyć „o jeden dom bliżej" sklepu nowego, bo, jak stwierdziliśmy, w gmachu gimnazjalnym, oddzielonym zresztą od pałacu Raczyńskich całą szerokością ulicy Berga, sklepów nigdy nie było. A zatem stary sklep nie mieścił się napewno pod numerem piątym. Nie mieścił się tam również sklep nowy, wszystkie bowiem lokale sklepowe w skrzydłach pałacu Raczyńskich od strony Krakowskiego Przedmieścia posiadają i zawsze posiadały conajwięcej po dwa okna wystawowe. Nikt z najstarszych warszawiaków, których o to zapytywałem, nie przypomina sobie, aby kiedykolwiek w pałacu owym mieścił się sklep pięciookienny. Na lokal pięciookienny od Krakowskiego Przedmieścia nie ma tam miejsca, a Prus — powtarzam — miał wyobraźnię bardzo realistyczną. Jedyny pięciookienny lokal sklepowy na Krakowskiem Przedmieściu pomiędzy pomnikiem Kopernika a Hotelem Europejskim istniał do niedawna pod numerem siódmym. Obecnie został on podzielony na parę sklepów, ale jeszcze przed paru laty zajmowała go restauracja „Empire". Ulegał on parokrotnym przeróbkom, lecz przez kilkadziesiąt lat posiadał pięć okien frontowych. Za czasów, kiedy żyła w Warszawie panna Izabela Łęcka oraz za czasów, kiedy Prus pisał „Lalkę", mieściła się w owym lokalu słynna cukiernia Toura, w której — jak wiem od ludzi starszych — Prus bywał częstym gościem. Otóż cukiernia Toura była jedynym lokalem sklepowym (na tym odcinku Krakowskiego Przedmieścia), w którym Prusowska wizja nowego sklepu Wokulskiego mogła się pomieścić. Do bardzo niedawna w domu owym, od podwórza, w jednem z okien parterowych, mianowicie w oknie dawnej kuchni cukiernianej, istniała prosta, żelazna krata, taka właśnie jaką Wokulski kazał wprawić w oknie przylegającego do sklepu mieszkania Rzeckiego. Obecnie kratę ową przerobiono na bardziej elegancką i nowoczesną. Na dobrą sprawę należałoby przywrócić starą i uznać ją za nietykalny zabytek [2]).

[2]) W egzemplarzach „Lalki", które mam pod ręką (są to wydania odznaczające się bardzo niestaranną korektą) znajduje się w pamiętniku Rzeckiego ustęp następujący:

„Boże miłosierny! Ależ ten drugi pokój, to mój pokój, w którym mieszkałem od lat dwudziestu pięciu. O k n a zakratowane, zielona firanka, mój czarny stół... a pod ścianą, naprzeciw, moje żelazne łóżko, dubeltówka i pudło z gitarą".

Jest w tym ustępie oczywiście błąd. Nie wiem, kto go popełnił, czy zecer, składając rękopis Prusa, czy też Prus, „przepisując" rękopis Rzeckiego.

Rzecki napewno napisał: okno, nie zaś: okna. Nie zawołałby przecież: „ależ ten drugi pokój, to mój pokój", gdyby była tam większa ilość okien, niż jedno.

Wiemy, że w dawnym pokoju Rzeckiego było tylko jedno okno okratowane. W nowym również tylko jedno, jak o tem łatwo każdy może się przekonać na własne oczy.

Powie mi ktoś:—„Ależ, proszę pana, ja wiem napewno, że Prus opisując firmę „J. Mincel i S. Wokulski", nie brał wzoru z żadnego sklepu warszawskiego. Wiem od osób doskonale poinformowanych, którzy słyszeli to z ust samego nieboszczyka Prusa, że opis swój wzorował na jakimś sklepie lubelskim".

Odpowiem na to: Wcale mi o to w rozważaniach niniejszych nie chodzi s k ą d Prus czerpał materjał, s k ą d sklep ów w z i ą ł, ale jedynie i wyłącznie o to, g d z i e sklep ów u m i e ś c i ł. Skoro nie wątpimy o tem, że u m i e ś c i ł go w Warszawie, na Krakowskiem Przedmieściu, to nie widzę racji, dla której mielibyśmy przypuszczać, że ulokował go w innym lokalu niż w najodpowiedniejszym pod względem rozkładu, rozmiarów, a za taki musimy uznać pięciookienną cukiernię Toura, mieszczącą się pod dzisiejszym numerem siódmym.[3])

Stary sklep znajdował się, jak wiemy o jeden dom dalej od wjazdu w Krakowskie Przedmieście, a zatem pod numerem dziewiątym. Najprawdopodobniej Prus umieścił go w istniejącej tam za jego czasów księgarni Wendego, gdzie również bywał częstym gościem.

III

Adres mieszkania Wokulskiego również łatwo ustalić.

Otwieramy w tym celu drugi tom „Lalki" i na stronicy jedenastej odczytujemy ustęp następujący:

„...Kopernik z nieruchomym globusem w ręku odwrócił się tyłem do słońca, które na dzień wychodziło z poza domu Karasia, wznosiło się nad pałac Towarzystwa przyjaciół nauk i kryło się za dom Zamoyskich, jakby naprzekór aforyzmowi „wstrzymał słońce, wzruszył ziemię". Wokulski, który w tym właśnie kierunku wyglądał ze swego balkonu, mimowoli westchnął, przypomniawszy sobie, że jedynymi wiernymi przyjaciółmi astronoma byli tragarze i tracze, nie odznaczający się, jak wiadomo, zbyt dokładną wiadomością zasługi Kopernika".

Z ustępu tego wynika przedewszystkiem, że Wokulski mieszkał po „parzystej" stronie Krakowskiego Przedmieścia, skoro wyglądał z balkonu w kierunku zachodnim. Otóż jedynym balkonem po stronie „parzystej", z którego mógł dostrzegać zarazem kawałek domu Karasia, jakoteż dom Zamoyskich, jest balkon w domu narożnym, obok ulicy Oboźnej, czyli w kamienicy nr. 4. Akurat naprzeciw tego balkonu, mieścił się przy sztachetach, okalających pomnik Kopernika, jeszcze za mego dzieciństwa posterunek tragarzy. Z balkonów kamienic, opatrzonych numerami wyższemi (6, 8 i t. d.) domu Karasia nie było widać, tak samo jak nie widać dzisiaj z nich miejsca, na którem ów dom się wznosił, gdyż kamienice owe stoją pod innym, bardziej ostrym kątem w stosunku do osi Krakowskiego Przedmieścia, niż kamienica narożna nr. 4. Ponieważ w owej kamienicy istnieje tylko jeden balkon, należący do mieszkania nr. 2, wolno nam wnioskować, że Wokulski był

[3]) Restauracja „Empire" była podzielona filarami na pięć części, odpowiadających pięciu „pokojom" sklepu Wokulskiego.

lokatorem tego właśnie apartamentu, że prywatny jego adres brzmiał: Krakowskie Przedmieście nr. 4 m. 2.

IV

Podobną metodą można ustalić wiele innych adresów w „Lalce". Możnaby w ten sposób ułożyć coś w rodzaju księgi adresowej tej powieści. Nie będę się jednak w niniejszym artykule kwestją tą zajmował, gdyż poza Rzeckim i Wokulskim (inkarnacjami powieściowemi samego Prusa), inni bohaterowie „Lalki" na tablice pamiątkowe nie zasługują.

Tablica na domu pod nr. 7 powinna opiewać:

W tym domu mieszkał
ś. † p.
IGNACY RZECKI
b. porucznik piechoty węgierskiej
uczestnik kampanji 1848
handlowiec
sławny pamiętnikarz
zmarły w r. 1879
NON OMNIS MORIAR

Tablica na domu nr. 4 mogłaby mieć tekst taki:

W tym domu mieszkał
w latach 1878—1879
STANISŁAW WOKULSKI
uczestnik powstania 1863
b. zesłaniec syberyjski
b. kupiec i obywatel m. st. Warszawy
filantrop i uczony
ur. w r. 1832[4]).

Daty „śmierci" Wokulskiego nie zamieszczałbym, ponieważ w plotkę puszczoną przez doktora Szumana nie wierzę i uważam Wokulskiego za bohatera nieśmiertelnego.

STEFAN GODLEWSKI

[4]) W bajce p. t. „Wokulski" (w książce „Warszawa") mylnie podałem jako rok urodzenia Wokulskiego 1833. Wokulski w r. 1878 w kwietniu, podczas przechadzki po Powiślu ma jeszcze lat czterdzieści pięć, ale rozpoczął czterdziesty szósty rok życia już przed czerwcem roku przeszłego (1877), w którym to miesiącu, bezpośrednio przed wyjazdem na wojnę bułgarską, rozmawiał o swoim wieku z dr-em Szumanem. Urodził się zatem w r. 1832. W roku przyszłym wypada setna piąta rocznica jego urodzin.

NORWIDJANA IV

LISTÓW C. NORWIDA

GARŚĆ TRZECIA

Podał STANISŁAW PIGOŃ

19. Do Agatona Gillera.

[Maj, 1869]

W-ny i Uprzejmy Panie!

W kilku pośpiesznych słowach podziękować pośpieszam za obowiązkowe Jego sprawozdanie (20 maja bieżącego) w *Poznańskim Dzienniku*. Sokrates nauczał, iż należy od czasu do czasu pozierać w zwierciadło, i ufamy, że on nie zalecał tego obyczaju dla zewnętrznych próżnostek, lecz wywnioskował zapewne tę przestrogę z samejże człeka budowy. Albowiem nikt profilu swego naturalnym sposobem obejrzeć nie potrafi... Tak dalece i ku społecznemu obcowaniu utworzony jest człowiek.

Ze względów tych bardzo WPanu obowiązanym jestem, co więcej, iż niekoniecznie jest popularną rzeczą mną się zajmować i rzadko to się bez sporów rabiało. Wyznam także, że gdzieindziej nie jest trudną pracą korespondencja doraźna, sprawozdania bieżące obejmująca; ale u nas osobnego ku tego daru potrzeba, dla tej przyczyny, iż nieznany jest ogół umysłowy, a przeto niewiedzieć, jak ma być postawiony punkt widzenia, jak oddalenia mają się skracać i znikać... słowem: talent osobisty zastępować musi to, co gdzieindziej warunkami perspektywy utrzymuje się. Inaczej też zawdzięczyć WPanu spółdziałalności jego nie umiem, jedno przez pilne ocenienie.

Wyraziłem prawie publicznie, że dwóch rzeczy zarówno człowiek publiczny wystrzegać się powinien, to jest, zarówno nie powinien być okrągło i zupełnie zapłaconym, i zarówno nie powinien nie być zawdzięczonym. Jedno albowiem i drugie szkodzi publicznej rzeczy.

Z tych dwóch (ile ja ufam) pewników pierwszemu czynię zadość niniejszym listem,—a zaś do drugiego? to proszę przyjąć ręki uściśnienie i wyrazy głębokiego poważania

Cyprjan Norwid.

Uwaga wydawcy: Autograf zachował się w zbiorach bar. L. Kronenberga w Warszawie, druk. w *Głosie Narodu* 1926, nr. 234. List jest podziękowaniem za sprawozdanie, pomieszczone przez Gillera w *Dzien. Pozn.* (nr. 112 z 20.V 1869 r.), z wieczoru dnia 13 maja t. r., kiedy to Norwid w publicznej prelekcji odczytał *Rzecz o wolności słowa*. Sprawozdanie było entuzjastyczne i dość szczegółowe. Po czasie jednak Norwid i o niem wyrazi się z zastrzeżeniami; por. list jego do Rustejki z r. 1870, *Silva Rerum* 1927, s. 186.

NA WIDOWNI

Nowela o tragizmie losów Polski i radosnym froncie ludowym. — Wesołe zdarzenia we Lwowie. — Masonerja prowadzi śledztwo. — Sowiety przysyłają pieniądze. — Literaci bolszewiccy i Akademja Literatury. — Hiszpańskie eksperymenty.

TRUDNO w naszych czasach nie pisać — — — nowelek. Tematy same włażą pod rękę i składają meldunek. Choćby takie zdarzenie, jak z owym „Paszkwilem na Polskę" — cóż to za pyszny strzęp tematu!

Było tak. Ukazała się bardzo interesująca i ważna książka p. Jędrzeja Giertycha p. t. „Tragizm losów Polski". Autor opowiedział, powołując się na dokumenty i fakty ogólnie znane, dzieje upadku politycznego Polski i wykazał czarno na białem, jak paskudną rolę odegrała w tym procesie podziemna intryga masonerji i żydów. Książkę tę nazwano „paszkwilem". Na kogo paszkwil? „Na Polskę". Była to oczywiście próba zbicia z tropu czytelników książki. Użyto do tej próby organu prorządowego, będącego zarazem organem „frontu ludowego".

Manewr ten przypomina obronę pewnego adwokata żyda, który stając w obronie fałszerza banknotów, taką wyciął reprymendę prokuratorowi:

— Dajmy na to, że mój klijent fałszował. Ale czy ten czyn, dowodzący zresztą niepospolitego talentu artysty, dorównywa krzywdzie społecznej, jaką wyrządza oskarżenie? Ujawnianie takich faktów jest paszkwilem, popełnionym względem sfer przemysłowych i handlowych naszego społeczeństwa. Cóż to za środowisko takie, jaka kultura gospodarcza, jaka uczciwość pracy tych fachowców, którzy pięć lat dali się fałszerzowi oszukiwać, narażając przedsiębiorstwa na straty? Co ma myśleć o naszym rynku handlowym zagranica? I oto my, którzyśmy temu rynkowi chcieli zapewnić dobre imię i potęgę, sami takiemi oskarżeniami powagę jego niszczymy"...

Autorem obrony Polski przed historją jest p. Wincenty Rzymowski, filar Akademji Literatury, jej strażnik z ramienia p. Janusza Jędrzejewicza, reformatora kultury polskiej, ten sam p. Rzymowski, którego apel do młodzieży niedawno w tem miejscu przytoczyłem. Wzywał on młodzież narodową polską i żydowską syjonistyczną, aby sobie podały rękę do zgody wobec wspólnego wroga — kapitalistów.

Przykro mi, że tak często wracam do tej osobistości, ale aktualność frontu ludowego tego wymaga. P. Rzymowski jest miarodajną personifikacją ducha tego frontu.

P. Rzymowski wniósł przed forum opinji powyższą obronę Polski zaraz po powrocie ze Lwowa. Co on tam robił?

W d. 16 i 17 maja odbywał się we Lwowie (w miesiąc po katastrofalnych zaburzeniach komunistycznych) zjazd „pracowników kultury" z udziałem literatów bolszewizujących. Byli tam: Zegadłowicz, Kruczkowski, Wł. Jampolski, H. Górska, W. Wasilewska, Broniewski, Czuchnowski, H. Dembiński i in.

Z żydowskiej „Chwili" dowiadujemy się też, że na zjeździe tym honorowymi prezesami byli oprócz Struga m. in. komuniści Maksym Gorkij, Romain Rolland, a na akademji w teatrze p. Zegadłowicz głosił z triumfem, że we Francji i Hiszpanji dochodzi już do władzy ruch „robotniczy", że my mamy już za sobą Lwów, Kraków i Częstochowę i zakończył: „Zobaczymy się w czerwonej..." Nie dodał: Warszawie. Ale widzowie zrozumieli. Podniosły się pięście. Nie śpiewano ani „Jeszcze Polska", ani nawet „Brygady", ale „międzynarodówkę", oficjalną pieśń komunizmu.

Wiadomość o tak efektownym zjeździe bardzo mnie zainteresowała, wiem bowiem z doświadczenia, jak utrudniona jest teraz publiczna wymiana poglądów, nawet w postaci akademickiego odczytu. Niedawno udaremniony był policyjnie w Warszawie zapowiedziany zgóry w lokalu Stronnictwa odczyt red. St. Kozickiego na temat położenia politycznego w Europie. Sięgnąłem więc po informacje do wychodzącego we Lwowie organu sanacyjnego (barwy pułkownikowskiej?) „Dziennika Polskiego" (nr. 138), i tam znalazłem sensacyjną relację. Przytoczę ją niemal w całości — bardzo ciekawa:

„Od pewnego czasu, a od kwietniowych wypadków ze szczególnym uporem, rozwijana jest na gruncie Lwowa systematyczna i określona robota wśród inteligencji.

Robocie tej patronuje niestety P. P. S. z tut. jej przewódcami na czele, a rolę honorowego protektora spełniają koła związane z Ligą Obrony Praw Człowieka.

Zaczęło się od... śledztwa, które owa Liga — prawem kaduka — rozpoczęła przeprowadzać wśród uczestników zajść. Spisywano jakieś protokuły, wzywano nawet świadków za pośrednictwem usłużnej prasy, potem odbywały się zebrania, na których odczytywano „bez komentarzy" zeznania. Ba! Delegaci Ligi odwiedzali przedstawicieli władz, ponoć jeździli nawet do Warszawy. Jednem słowem robili niemało wiatru i dawali społeczeństwu do zrozumienia, że mozolnie pracują w jego imieniu.

Któżby zaś wśród poczciwych ludzi w Polsce miał coś przeciw temu, że jacyś wolontarjusze i to z Ligi, która zawodowo trudni się tak cenną sprawą, jak obrona praw człowieka — stają, gdzie się da, w ich obronie? A jeśli do tego firmę takiej akcji daje uczony profesor, to oczywiście ludziom się wydaje, że wszystko jest w najlepszym porządku. Zresztą poniekąd rozgrzeszała Ligę inna równorzędna akcja, rozwijana również pod wysokiemi auspicjami innych uczonych, którzy zbierali zdenerwowanych ludzi na narady, ogłaszali długie uchwały z potępieniami, wyrazami solidarności, z poradami i t. d. i t. d.

Jeśli wolno jednym, dlaczegożby nie było można innym? Czem zaś jest Liga Obrony Praw Człowieka — wiadomo doskonale. Już tylko ta okoliczność, że jest to organizacja międzynarodowa, której wszędzie patronują koła skrajnie radykalno-lewicowe i komunistyczne, wystarczy do stwierdzenia, że społeczeństwo polskie musi się jaknajenergiczniej zastrzec i przeciwstawić wszelkiej akcji tego rodzaju Lig na naszym gruncie, chociażby były one najobficiej podlane sosem humanitaryzmu.

Szczególnie oburzającym był fakt przeprowadzenia owego śledztwa przez Ligę: chyba przez przeoczenie i wskutek chwilowego zamieszania nikt nie wkroczył w swoim czasie w tę sprawę i nie położył kresu akcji, która kolidowała z prymitywnem pojęciem porządku w państwie i podziału kompetencyj.

Nie wiemy czy w związku czy bez związku z mozolnem „śledztwem" Ligi Obrony Praw Człowieka, tragiczne

ofiary zajść we Lwowie otrzymały niedawno na osobiste adresy **przesyłki pieniężne** z... Paryża z listem, którego fotografję obok reprodukujemy.

Jest to **cenny** przyczynek do rozświetlenia dróg, jakiemi idą niektóre wypadki w Polsce.

Pieniądze i list przesyła „Komitet paryski — centrala komisji obrończej dla politycznych więźniów w Polsce” (*Pariser Komité Centrale der Verteidigerkomissie über die politisch arestierten in Polen*). Adres nadawczy brzmi wymownie: *Loterstein 5 rue Petit Paris 19.*

Szczytem wszystkiego — jak widać to wyraźnie na naszej reprodukcji — jest pieczątka owego „paryskiego komitetu” wystylizowana w... żargonie.

Nie naszą oczywiście rzeczą jest wnikać, kto udzielił adresów ofiar „paryskiemu komitetowi”. Ponieważ nie zrobiła tego chyba policja, więc ktoś to jednak zrobił. Obok władz jedyną „instancją” była tylko osławiona Liga Obrony Praw Człowieka. Nie na tem się jednak kończy ta zabawa.

Już po ugruntowaniu sympatji dla „humanitarnej“ akcji agitatorów z Ligi, rozpoczęła się świeżo „intelektualna“ nagonka na społeczeństwo. Do Lwowa (właśnie do Lwowa!) zjechali onegdaj „intelektualiści” w rodzaju Leona Kruczkowskiego, M. Czuchnowskiego, Henryka Dembińskiego i innych. Znalazły się we Lwowie nawet organy prasowe, które ten zjazd potraktowały dostojnie („Zjazd intelektualistów we Lwowie”) i dały mu swoje żyro.

Któżby bowiem znowu mógł mieć coś przeciw „intelektualistom”, którzy fatygują się z całej Polski do Lwowa, aby niewinnie pogwarzyć o przyszłości literatury.

Coprawda donosi właśnie wileńskie „**Słowo**”, że w Wilnie w ub. sobotę zamknięto stowarzyrzenie inteligencji p. n. „Klub Dyskusyjny”, ponieważ uprawiano w nim „pod pozorem niewinnej dyskusji propagandę komnistyczną, gloryfikowano ustrój sowiecki, zachwycano się zaburzeniami we Lwowie i w Krakowie“ i że motorem tego Klubu był właśnie H. Dembiński, jeden z uczestników lwowskiego „zjazdu intelektualistów“. Któżby jednak z burżuazyjnych, liberalizujących snobów mógł przykładać do takiej drobnostki jakąś wagę.

Czem zaś był zjazd „intelektualistów“ we Lwowie — niechże o tem zaświadczy chociaż ten fakt, że zgromadzeni „intelektualiści“ i ich sympatycy — po wysłuchaniu referatów — intonowali na obu zebraniach w ub. sobotę i w ub. niedzielę Międzynarodówkę. Nawet nie Czerwony Sztandar, którego zwolennicy dali firmę, ale zostali, jak zwykle, zdystansowani.

A trzeba z naciskiem podkreślić, że ci sami ludzie, którzy na gruncie lwowskim patronowali miesiąc temu „humanitarnej“ akcji Ligi Obrony Praw Człowieka, ci sami stali na czele roboty „intelektualnej”.

W pierwszym wypadku „komitet paryski“ używający żargonowej pieczątki, ukoronował akcję „humanitarystów“ lwowskich przesyłkami pieniężnemi, w drugim zakończono dwudniowe prace odśpiewaniem Międzynarodówki.

Zdaje się, że już dla najbardziej naiwnych ludzi jest to wszystko aż nadto przejrzyste.

Podnosimy zatem alarm! Zapytujemy, kto bierze odpowiedzialność za tę robotę? Czy dzieje się ona za wiedzą czynników odpowiedzialnych? Jak długo jeszcze będzie trwało systematyczne i bezkarne rozbrajanie opinji polskiej przez komunizm, który w tym celu używa różnych pośrednich sposobów, aby zdobyć zaufanie społeczeństwa?”

Relacja powyższa byłaby niekompletna, gdybyśmy jej nie uzupełnili według danych, przytoczonych przez „Chwilę“, którą należy uważać za organ urzędowy zjazdu literackiego. Na pierwszem miejscu między uczestnikami Zjazdu wymienia ona członka Akademji Literatury, W. Rzymowskiego.

P. Rzymowski nie miał czasu napisać wzmianki o tym zjeździe w swoim „Kurjerze Porannym“, ponieważ pilno mu było, jako patrjocie, wziąć w obronę Polskę przed paszkwilami nacjonalisty. Czy niema w Polsce knowań masońskich i żydowskich? On nic o tem nie słyszał, o niczem nie wie. Wie tylko, że znieważa Polskę, kto o tych knowaniach głcśno mówi. Że trzeba tropy mylić, opinję manić, mącić Narodową kadź. W piśmie „państwowem” trzeba napisać na nacjonalistów za... brak patryjotyzmu, bronić od ich wpływu patryjotyczną młodzież:

„Jakąż okropną dewastacją” — woła z patosem — „ten system wychowawczy [mówienia prawdy] starych bankrutów politycznych(?) przeżarłby dusze młodzieńcze, gdyby istotnie zapuścił w nich korzenie! Ale sama karykaturalność, sama potworność wynaturzenia, któremu p. Giertych poddaje historję naszą, aby podciągnąć ją pod smak oraz interes endecki, przekonywa nas, że ten niewolniczy czeladnik Dmowskich, Wasilewskich i Rybarskich, nie może, nie ma prawa sięgać po przedstawicielstwo młodego pokolenia wśród kół młodzieży nastrojonych na elementarny choćby ton patrjotyzmu”.

Tak się złożyło, że jednocześnie znany krytyk W. K. Zawodziński ogłosił w „Buncie Młodych” (z 12 maja) listy, które otrzymał od jednego z tych właśnie młodych pisarzy, którzy brali udział w owym zjeździe lwowskim. Jest to młodzieniec 22 letni, słuchacz uniw. lwowskiego, wydał tom poezyj, tom powieści, piszący zresztą nieortograficznie, ale zato bezczelnie.

W jednym z listów pisze o „parszywej ojczyźnie, która niczego nam [młodym] nie dała, a zabrała nam młodość”. Albo:

„Kapitalizm ma narazie jeszcze dosyć siły i wypróbowaną metodę, na zgłębienie której nie pozwalają Wasi granatowi i zieloni żandarmi. Ale nadejdzie czas, że będziemy kopali Was jak psów za wszystkie czasy — i to się sucho nazwie: sprawiedliwością społeczną! ku temu idzie — i bagnety i armaty zawiodą Was.”

Tak wygląda młodzieniec, wychowany według najnowszego reżimu „państwowości“, reżimu, tak zalecanego przez p. Rzymowskiego; tak wygląda literat owego typu, pielęgnowanego przez Akademję Literatury, w której imieniu p. Rzymowski witał literacki zjazd we Lwowie.

Co to wszystko, razem wzięte, znaczy, nikt nie mógłby lepiej opinji i władz państwowych poinformować, jak p. Rzymowski. Ale on nie zdradzi planów, nie powie, dlaczego właśnie Lwów obrano na eksperymenty hiszpańskie; będzie się owszem ciskał na tych, którzy o niebezpieczeństwie ostrzegają, machinacje „frontu ludowego“ demaskują. Rzuci się z wściekłością na Giertycha, że ten, pisząc o tragizmie losów Polski, wskaże na analogiczną działalność masonerji przed 146 laty.

Ktoby pomyślał że, w Polsce niepodległej, mającej za sobą tak ciężkie doświadczenia, życie publiczne nastręczać będzie tyle kryminalnych tematów do nowel tak smutnych pomimo swej sensacyjności.

ZYGMUNT WASILEWSKI

PO ŚLUBOWANIU JASNOGÓRSKIEM

KTO DNIA 24 MAJA r. b. był — razem z pielgrzymką młodzieży akademickiej — na Jasnej Górze, zachowa do śmierci niezatarte wspomnienie tych chwil wzruszających i wielkich. Dziesiątki tysięcy zgromadzonych pątników odczuły w sposób najbardziej bezpośredni potęgę, jaka — w myśl obietnicy ewangelicznej — zawarta jest w akcie modlitwy zbiorowej: „Gdzie dwóch albo trzech zejdzie się w Imię Moje..."

Starsi którzy wiele już przeżyli i oglądali, młodsi, twardzi, dalecy od sentymentalizmu, poczuli nagle w oczach łzy i skurcz łkania w krtani, gdy tysiące stłoczonych na stokach Jasnej Góry padły na kolana, a Prymas Polski, u stóp wyniesionego na wały kasztorne przeświętego Obrazu, kreślił ponad morzem głów pochylonych znak błogosławieństwa.

Cyfra 17000 młodzieży, przybyłej ze wszystkich wyższych uczelni w Polsce aby złożyć ślubowanie Jasnogórskie, ma istotnie niezwykłą wymowę. To naprawdę już nie jakaś grupa poszczególna, nie cząstka, nie odłam, ale całe młode pokolenie inteligencji polskiej, zjednoczone przy wierze ojców swoich i w miłości ku Bogurodzicy. Będąc pośród tych rzesz, czuło się najwyraźniej, iż się jest w samym środku tradycyjnego nurtu dziejów ojczystych, że ci młodzi — to nie tłum bez rodu i miana, ale prawi dziedzice, spadkobiercy.

I rzecz znamienna: tak uparcie, z różnych stron oddziaływa się w tym kierunku, by całą uwagę młodego pokolenia skupić wyłącznie na czasach teraźniejszych, by jedyną tradycją, którą zna i z którą odczuwa związek, była dla niego tradycja ostatnich lat kilkudziesięciu. A przecież — wbrew tym suggestjom — ślubowanie Jasnogórskie stało się żywiołową manifestacją, okazującą jedność duchową młodzieży dzisiejszej z Polską dawną, jedność wiary, ideałów, umiłowań. Ten ton dźwięczał najsilniej w przemówieniach przedstawicieli środowisk na popołudniowej akademji, w wywoływanych przez nich raz po raz odległych wspomnieniach historycznych, w akcentowaniu — jak to uczynił reprezentant Lwowa, p. Nowosad, — że „w nas tu zebranych żył, żyje i trwać będzie ten sam N a r ó d P o l s k i, który od wieków Matkę Bożą szczególnie umiłował i do Jej cudownego Obrazu na Jasną Górę zawsze o pomoc się uciekał".

Piszącemu te słowa przychodziło do głowy pytanie, jakie uczucia mógłby przeżywać przeor Augustyn Kordecki, gdyby, powstawszy z grobu, ujrzał te rzesze, pogrążone w modlitwie, na klęczkach pod wizerunkiem Częstochowskiej. Napewno spoglądałby na nie z ojcowskiem rozczuleniem, z serdecznością, ale chyba bez owego zdumienia radosnego, które — u starszej generacji przedewszystkiem — było bodajże dominującem wrażeniem, jakie w tej chwili niezwykłej odnosili. Dla niego bowiem, jak dziś jeszcze dla polskiego chłopa, taki hołd zbiorowy Najświętszej Pannie byłby czemś rozumiejącem się samo przez się, naturalnem. Wszystko wskazuje, że już za niewiele lat zapewne, taka sama będzie postawa duchowa warstwy oświeconej. Ale dziś jeszcze niech nam wolno będzie i dziwić się, i głośno radować, — tak jak wędrowcom, co po długiem błąkaniu się po różnych manowcach nareszcie z powrotem o d n a j d u j ą s w o j ą d r o g ę...

R.

GŁOSY

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH MOŻNA ZAUWAŻYĆ KSIĄŻKĘ BARBUSSE'A O STALINIE. Okładka przedstawia portret dzisiejszego dyktatora Rosji unoszący się nad dwoma szeregami świetnie wyekwipowanych żołnierzy Z. S. S. R. Mimowoli myśl człowieka przenosi się na podkremlowski plac Czerwony, gdzie to każdego „Święta pracy" czyli 1-go maja odbywa się największa rewja wojskowa świata.

Czasby był już ostatni, ażeby proletarjusze wszystkich krajów, tak chętnie zrzucający mundury własnych armij narodowych, raczyli dojrzeć wreszcie siły zbrojne imperjalizmu współczesnej Rosji, raczyli dojrzeć szeregi „narodu sowieckiego", jak już mówią komunikaty oficjalne marszałka Woroszyłowa. „Polska zbrojna" w artykule „Sowieckie zbrojenia moralne" pisze, iż z biegiem czasu, armja Z. S. S. R. „...zaczęła coraz bardziej hołdować ideologji „sowieckiego patrjotyzmu", która latem roku 1934 uzyskała oficjalną aprobatę i została zatwierdzona, jako obowiązujące *credo* całego społeczeństwa sowieckiego".

Wielce charakterystyczne są metody, jakiemi wpaja się w masy ów patrjotyzm. Przypominają one w dużej mierze ducha, z jakim imperjalizm angielski czasów królowej Wiktorji szedł w świat. Oto wmawia się powszechnie w żołnierza Z.S.S.R. jego niewątpliwą, bezwzględną wyższość nad innemi armjami świata. Jest to duch „zaczepnej obrony", bardzo ciekawy, w zapowiedziach i groźbach wcale zastanawiający.

Zacytujemy słowa wymienionego przez nas artykułu:

„Jak dotychczas — propaganda sowiecka, a zwłaszcza jej agendy, obsługujące czerwoną armję, nadają skrajnie militarystycznej agitacji charakter „obronny", z zastrzeżeniami w rodzaju, że „w razie napaści na Z. S. R. R. czerwona armja będzie walczyła wyłącznie na terytorjum przeciwnika", że „wrogów Z. S. R. R. oczekuje klęska na froncie i rewolucja na tyłach" i t. p.

Otóż chyba widać jasno jak na dłoni, że rewolucja komunistyczna u innych ma być dywersją, ma być jednym ze sposobów walki z przeciwnikiem, sposobów dość — przynajmny — precyzyjnych. Jak wobec tego należy traktować wszelką robotę t. zw. „frontów ludowych"? Niedaleką wydaje się od zdrady kraju, pracy pod dyktando agentur obcych, służby dla obcego, rosyjskiego nacjo-

nalizmu, noszącego wszelkie cechy imperjalizmu opartego na ogólnem poczuciu mas, ich aprobacie bez zastrzeżeń.

„Oświadczenia najwyższych dowódców sowieckich“ — pisze „Polska Zbrojna” — „jeśli chodzi o pewność siebie — deleko pozostawiły za sobą słynne „zarzucanie czapkami” z dawnych czasów. Marszałek Woroszyłow przy każdej okazji podkreśla, że w razie wojny zwycięstwo sowieckie nie ulega dlań najmniejszej wątpliwości i że chodzi mu jedynie o to, by osiągnąć je z minimalnemi stratami (*„małoj krowju”*)”.

Pewność zwycięstwa jest przejawem psychiki władczej, a ta z kolei stanowi podglebie ruchu o charakterze ekspansywnym. Ruch ten posiada formy zaborczości ideowej, kierowanej umiejętnemi sposobami wykształconej w mózgu Lenina „techniki społecznej“, oraz formy zaborczości materjalnej w postaci ponad potrzebę nawet — jak twierdzą—zmotoryzowanej i wyekwipowanej armji. Patos imperjalistyczny nie może być bez konsekwencyj.

W przeciwnym bowiem razie pocznie być czynnikiem destrukcyjnym, rozkładowym. Słowa poczną zastępować czyny. Potrzeba czynu, tak naturalna, stanie się czemś z dniem każdym coraz bardziej papierowem, aż doprowadzi do tego, iż krew w wodę przemieniać się będzie. A to jest stan groźny, do którego żadne rządzące i ambitne kierownictwo dopuścić nie może.

Warto od czasu do czasu przypomnieć postawę moralną, podpartą doskonałem przygotowaniem zbrojnem narodu sowieckiego. Mając wciąż oczy zwrócone na zachód, nie możemy zapominać i o sąsiedzie wschodnim, nawet wówczas, gdy pragniemy żyć z nim w zgodzie. Nie możemy zapominać o nim, zwłaszcza gdy sobie uprzytomnimy, że jego to szkoła zaciskała ręce manifestantów w dniu 1-ym maja w pięść wygrażającą wojskowym samolotom naszym. Przypominamy, że chodziło nie o samo zjawisko samolotu wojskowego, jakby to mogli sądzić niektórzy, ale o zjawisko samolotu polskiego. Przecież „Robotnik“ poddawał się na chwilę błogiej iluzji, że to na cześć „święta pracy” defilują w powietrzu eskadry. Zdawało mu się, że już władza do nich, „frontu ludowego”, należy.

Iluzja ta trwała chwilę tylko. Inne trwają latami, weszły już im niejako w krew.

Czas by się i tych pozbyć.

NAUKA i LITERATURA

NA WYSPIE NIEDŹWIEDZIEJ

ŻYWO pamiętamy jeszcze — choć to już cztery lata temu prawie — wieczorne, co sobotę audycje radjowe dla uczestników polskiej ekspedycji polarnej na Wyspie Niedźwiedziej: krótkie (pięciominutowe), nabrzmiałe serdeczną troską i przepojone ciepłem rodzinnem, rozmowy, a właściwie gorące wezwania, zabłąkane gdzieś, zda się, na 3,000 kilometrowym obszarze wodnym... Odzew usłyszeliśmy dziś dopiero, po przeczytaniu książki, zawierającej wspomnienia dowódcy wyprawy, inż. Cz. Centkiewicza: Czesław Jacek Centkiewicz: „Wyspa mgieł i wichrów”. Pierwsza polska ekspedycja narodowa roku polarnego 1932/33. Warszawa. Tow. wyd. „Rój”. Str. 314.

Prace polskiej „ekipy”, *notabene* najbardziej ze wszystkich placówek naukowych na północ wysuniętej, mają — podobnie, jak i cała impreza „roku polarnego”—ogromne znaczenie dla postępu wiedzy, szczególnie meteorologji lotniczej i rolniczej. Nas w danej chwili obchodzi coprawda sam wyczyn trzech morowców, będący próbą tężyzny plemienia, sprawności fizycznej i harcerskiej (w odniesieniu do Centkiewicza w szczególności), pogodnej zaradności oraz, wytrzymałego na mróz i niebezpieczeństwo, męskiego hartu.

Okolice Bieguna Północnego to jedna z najmniej zbadanych stron świata, a Wyspa Niedźwiedzia rysuje się w przedstawieniu autora jako niewdzięczny, oporny zakątek, „wymarzone wprost miejsce odosobnienia”. I oto trójka entuzjastów „dobrowolnie wykreśla wprost rok czasu ze swej młodości i europejskiej karjery, zamyka się na owem przedpieklu”... mając przecież przed oczyma widmo Andrée'go i Amundsena.

Tutaj dopiero rozumiemy słuszność koncepcji, polegającej na odkomenderowaniu na te stanowiska ludzi młodych (w okresie przygotowań sarkano w prasie mocno na brak doświadczenia u debiutujących „polarników”). Dziś rozumiemy to wszyscy, że tylko tacy jak oni, mogli wytrzymać ucisk psychiczny nocy polarnej i przymusowej samotności.

Chlubny udział Polski w międzynarodowem przedsięwzięciu „roku polarnego”, podobnie jak np. (choć z „innej beczki”) świetnie prosperujące misje polskie w Chinach, są dowodem prężności narodu, nadmiaru sił żywotnych, użyczanych hojnie ludzkości.

Odczuwa się przy lekturze książki inż. Centkiewicza nowy, świeży ton—nawiązywanie łączności z wielkiem bractwem ludzi morza, dokąd Polacy wkraczają z przysłowiową brawurą.

Te wszystkie walory wewnętrzne oraz zalety pióra: prosty, ujmujący, niewymuszenie dowcipny tok opowiadania — sprawiają, że książkę czyta się jednym tchem.

Moc ciekawostek: choćby... i ta klaczka Blakka, zdziczała na bezludnej wyspie, mięsem się surowem karmiąca; choćby i ów kapitan statku, sowiecki marynarz, w którego przepaścistych kieszeniach, wbrew elementarnym obyczajom pracowników morza, ginie zarówno korespondencja, adresowana do Polski, jak i porto. (Tak wygląda — przy bliższem zetknięciu — „autonomiczna” moralność komunistów).

Notatnik dowódcy wyprawy posłużył mu do napisania wartościowego pamiętnika, bijącego swym powabnym i kulturalnym autentyzmem conajmniej dziesięć przeciętnych powieści, wędrującego na zaszczytne miejsce, na półkę, z niejednym już dziś (w dobie Żwirki i Wigury) „podręcznikiem energji”.

Rzecz bardzo na czasie. ST. J.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Rozprawa Józefa Poniatowskiego „Przeludnienie wsi“, drukowana w r. 1935 w czasopiśmie „Rolnictwo“, ukazała się obecnie w formie książkowej, co należy powitać z radością, gdyż ułatwi to poznanie tej pracy szerszym rzeszom czytelników. A książka jest warta, by przeczytał ją każdy myślący Polak. Omawia w niej autor bardzo ważne — jeśli nie najważniejsze — zagadnienie naszej polityki gospodarczej. Bezrobocie przemysłu w Polsce nie jest bowiem tak groźne, jak olbrzymie, a mało szerokiej opinji znane — przeludnienie wsi, które w dziedzinie gospodarczej wyraża się niewyzyskaniem zupełnem albo częściowem pracy olbrzymich mas ludności rolniczej do tej pracy zdolnych i chętnych.

Liczbę osób, którąby mogła być usunięta z rolnictwa bez szkody dla gospodarstw ocenia autor na 8—9 miljonów.

Jeśli Polska ma rozwijać się normalnie, musi być przedewszystkiem rozwiązana we właściwy sposób kwestja przeludnienia wsi.

Autor zupełnie słusznie odrzuca taki środek, jak ograniczenie przyrostu naturalnego, mówiąc: „Tylko rozwój zabezpiecza trwałość, a silny rozwój gospodarczy wymaga przyrostu ludności“.

Dalsze rozważania poświęca Poniatowski innym sposobom, któreby mogły częściowo omawiane zagadnienia rozwiązać. Dla każdego bowiem trzeźwo patrzącego polityka jest rzeczą jasną, że nie może być mowy o wyleczeniu tej choroby naszego organizmu gospodarczego przy pomocy jakiegoś jednego cudownego balsamu, jak np. osławiona „reforma rolna". Musi tu być zastosowana długa i konsekwentna kuracja i różne środki. Dopiero połączenie tych różnych i licznych środków, które autor w swej pracy podaje i na które każdy się zgodzi, dać może wyzdrowienie.

Z jednem tylko nie można się zgodzić. Autor mówi o emigracji ludności rolniczej, co zresztą uważa za zło konieczne, a zapomina o tem, że zamiast tracić rdzennych polskich chłopów, możemy ulżyć naszemu organizmowi gospodarczemu (nie mówiąc już o innych wielkich korzyściach) przez pozbycie się żydów. Brak rozważań nad kwestją żydowską, właśnie w książce o przeludnieniu wsi, należy uważać za najważniejszą i bardzo poważną jej wadę. (J. M.).

*

Stanisław Szpotański. „Czerwone maki". Powieść. Warszawa, 1936. F. Hoesick.

Przedwcześnie zmarły autor może w żadnej z poprzednio wydanych powieści nie objawił tyle temperamentu pisarskiego, fantazji i humoru. Humor to niefrasobliwy, w rodzaju „Ramot i ramotek" Augusta Wilkońskiego i „Wędrówek delegata" Jordana, ale o więcej pogłębionem tle i silniejszej charakterystyce typów, artyzmie stylu i swobodzie w operowaniu techniką.

Tłem powieści jest kilka wsi, miasteczko powiatowe, Kraków i Warszawa, w okresie kilku lat po klęsce powstania w 1863 roku, zaś akcja powieści, raczej anegdoty, rozgrywa się w sferze ziemiańskiej. Typy oryginałów, godne powieści Kraszewskiego „Dziwadła", śmieszą i rozczulają czytelnika. Ich szczera, pierwotna polskość, gościnność, wybujałe poczucie honoru, odwaga przekonań, zapalczywa do nieprzytomności, kojarzy się z ich krótkowidzwem, żeby nie rzec, ciemnotą. Są to ludzie tacy, o jakich Sienkiewicz mówił, że „patrzą na świat przez rurę od barszczu". Takimi jednak Szpotański chciał ich mieć. Między nimi nowy „wielki człowiek do małych interesów" i raptus, nieledwie szaleniec, zabijaka, pijus, jak gdyby żywcem przeniesiony spod klosza epoki saskiej i domorosły dyplomata, wszyscy niby w karuzeli, puszczeni w ruch powieściowej osnowy.

Djalog kipi życiem, tak jak i chwytające za serce odczucie przyrody i autentyczna znajomość gospodarstwa wiejskiego, jego radości i kłopotów. Książka ciekawa, zdrowa, szczęśliwie rywalizuje z bieżącą miejską, pseudo-intelektualną, literaturą beletrystyczną. (A. W.)

*

Jan Lorentowicz. „Mieczysława Ćwiklińska". Monografja artystki. Warszawa, 1936.

Z okazji jubileuszu pracy aktorskiej p. Ćwiklińskiej i jej występu w komedji Adama Grzymały-Siedleckiego „Spadkobierca" w Teatrze Narodowym zebrał Lorentowicz garść krytyk i fotografij, i wraz z własnemi spostrzeżeniami dał nadzwyczaj trafny psychologiczny portret i obraz scenicznej karjery artystki. Obraz tem ciekawszy, że z perspektywy świetnej rodzinnej tradycji aktorskiej, Anastazego Trapszy, dziadka artystki, Marcelego i Aleksandry Trapszów, jej rodziców, stryja Stanisława i dwu ciotek, Ireny Trapszo-Chodowieckiej i Tekli Trapszo-Krywultowej. Nazwisko Trapszów, blask ich talentów i praca organizowania scen teatralnych we wszystkich, przed wojną światową, trzech dzielnicach Polski, to, obok wspomnianych w monografji rodzin aktorskich Żółkowskich i Ładnowskich, pełen znaczenia fragment historji polskiego teatru.

Nie brak było tym artystom wdzięcznego uznania. „Przez cały wiek dziewiętnasty publiczność nasza żyła nie tyle teatrem, ile uwielbieniem dla aktorów", pisze Lorentowicz, „do duszy widza wpadał obfity zasiew piękna". Grywali w modnych wówczas sztukach obcych, przeważnie francuskich, jednek najlepiej czuli się w dziełach twórczości rodzimej, odtwarzając role swojskich typów i charakterów. Kreacje Żółkowskiego w „Majstrze i czeladniku", Bolesława Leszczyńskiego w „Mazepie", Kazimierza Kamińskiego i Mieczysława Frenkla w komedjach Fredry, Blizińskiego i Bałuckiego, do dziś, mimo przedziału czasu, zachowały czar ich osobowości, natchnienia, poezji, legendy. To samo, w tym roku, poczucie wspólności kultury skłoniło Ludwika Solskiego do wybrania „Wielkiego Fryderyka" Adolfa Nowaczyńskiego, a M. Ćwiklińską do wyboru komedji Adama Grzymały Siedleckiego „Spadkobierca". W zamęcie, importowanej przez usłużną agencję, zagranicznej tandety znakomici aktorzy upomnieli się o sztukę polską. (A. W.)

ZMARLI

† KAZIMIERZ KS. CZARTORYSKI

W KATASTROFIE samochodowej, w drodze ze Stanisławowa do Żórawna, poniósł śmierć — przeżywszy lat czterdzieści cztery — książę Kazimierz Czartoryski. Prawnuk Jenerała Ziem Podolskich, księcia Adama, syn zasłużonego wielce dla polskości w b. zaborze austrjackim, w latach 1922 — 1928 członka Senatu Rzplitej, ks. Witolda, książę Kazimierz był od młodości godnym kontynuatorem wielkiej tradycji patrjotycznej swego rodu. W pierwszych latach odbudowy Państwa, w okresie wojny o niepodległość, spełnił chlubnie swój obowiązek żołnierski, dosłużywszy się rangi porucznika artylerji. Następnie, ożeniwszy się z hrabianką Skrzyńską i osiadłszy w historycznem Żórawnie nad Dniestrem, w dalszym ciągu oddawał się pracy publicznej, zarówno w organizacjach ziemiańskich, jak i w Stronnictwie Narodowem, gdzie był członkiem Komitetu Politycznego i zarządu dzielnicowego we Lwowie. W roku 1929 kandydował z listy narodowej do Sejmu.

Mądry i gorący patrjota, żarliwy katolik, budził w każdym, kto Go poznał bliżej, uczucie głębokiego szacunku i głębokiego zaufania. Jego śmierć przedwczesna, kiedy tak wiele jeszcze mógł i zamierzał dokonać, jest bolesnym ciosem dla tych wszystkich, co związani z Nim byli wspólnotą idei, poglądu na dzisiejsze położenie Polski, zrozumienia wzajemnego i współpracy.

Cześć Jego pamięci! J. R.

NOWE KSIĄŻKI

Sejm i Senat 1935 — 1940. IV kadencja. Opracował Scriptor. Warsz. 1936. F. Hoesick. Str. 480. z portr.

Henderson Artur. Droga świata pracy do pokoju. Słowo wstępne Augusta Zaleskiego. Warsz. 1936. F. Hoesick. Str. 160.

Bączkowski Włodz. U źródeł upadku i wielkości. Warsz. 1935. F. Hoesick. Str. 191.

Życki J. Propaganda a polska racja stanu. Warsz. 1936. F. Hoesick. Str. 80.

Rulikowski Miecz. Księgoznawstwo. Przeszłość oraz stan obecny wiedzy o książce i nowe w niej kierunki. Warsz. 1935. F. Hoesick. Str. 87.

Jankowski A. ks. dr. Tytuł i nazwa „Ksiądz". Włocławek 1936. Odb. z „Głosu Kapł.". Str. 23.

Sienkiewicz H. Potop, t. V-ty. Lwów. Ossolineum.

Majewski Stanisław. Z tajemnic bytu. Materjalizm wobec nauki. Warsz. 1936. Tow. Wyd. Młodych prawników i ekonomistów. Skład u Gebethnera i Wolffa. Str. VIII i 264.

Pamiętnik Literacki. Lwów. Ossolineum. Rocznik 33, zesz. 1.

Marchołt. Kwartalnik nr. 7. Kwiecień 1936.

Łempicki Zygmunt. Literatura, poezja i życie. Warsz. 1936. Inst. Literacki. S. 51.

De la Vaissiere J. T. J. Teorja psychoanalityczna Freuda. Studjum psychologji pozytywnej. Przekład M. i Z. Ziembińskich. Poznań 1936. Św. Wojciech. Str. 144.

Szczęch Stanisław. Erazm Majewski jako ekonomista. Lublin 1936. Uniwersytet. Rozprawy doktorskie 2. Str. VI i 227.

Naglerowa Herminja. Krauzowie i inni. Powieść. T. II. Warsz. 1936. Mortkowicz.

Giertych Jędrzej. Tragizm losów Polski. Pelplin (1936) Księg. „Pielgrzym". Str. XV i 638.

Prus Bolesław. Pisma T XV — XVII. Emancypantki, t. II—IV. Warsz. Gebethner i Wolff.

Pigoń Stanisław. Na wyżynach romantyzmu. Studja historyczno-literackie. Kraków 1936. Kasa im. Mianowskiego. S. 293.

POKŁOSIE

POLITYKA I GIEŁDA

SKANDAL w gabinecie angielskim traktowany jest dziwnie łagodnie nawet przez sensacyjną prasę świata. Czytamy krótkie wiadomości o tem, że minister kolonij J. H. Thomas, nie czekając nawet na orzeczenie komisji śledczej zrzekł się teki ministerjalnej, a premjer Baldwin w odpowiedzi na jego pismo uznał ten krok za słuszny, dodając, że na jego miejscu sam postąpiłby tak samo. Nigdzie jednak nie słychać głosów zbytniego oburzenia, ani nie widać załamywania rąk nad korrupcją najwyższych władz politycznych. Sprawa wyglądałaby napewno inaczej, gdyby skandal podobny wydarzył się we Francji lub Włoszech, w którymś z tych zdegenerowanych krajów łacińskich; ale w pełnym cnót obywatelskich Albionie to nie ma żadnego znaczenia.

W rzeczywistości jednak właśnie w Anglji, gdzie plutokracja oddawna naprawdę „rządzi", skandale, wynikające z pomieszania polityki z giełdą, są tak częste, że jeden z historyków ironicznie wyjaśnia mały ich oddźwięk w opinji tem, iż „nie są tak rzadkie, żeby zwracać na siebie specjalną uwagę"... Istotnie nie są rzadkie.

Minister kolonij obecnego gabinetu, J. H. Thomas wyzyskał wiadomości, jakie otrzymał na posiedzeniu gabinetu o zamiarze rządu podniesienia pewnych ceł i podatków, do gry giełdowej i zarobił na tem wraz ze wspólnikami nieźle. Thomas był socjalistą, działaczem i jednym z przywódców wielkiego związku zawodowego kolejarzy. Zaczął karjerę życiową bodaj od maszynisty kolejowego, skończył na ministerstwie ze skandalem w epilogu.

Nie należy z tego wyciągać zbyt pośpiesznych wniosków o słabej odporności moralnej ludzi nowych, dorobkiewiczów politycznych, bo aczkolwiek przemawia za tem poprzedni wielki skandal, o którym pisaliśmy niedawno na tem miejscu, t. zw. skandal Marconiego, kiedy ministrowie Lloyd George, Rufus Isaacs, późniejszy wicekról Indji i in. zakupili akcje Tow. Marconiego w przeddzień udzielenia temu Towarzystwu przez rząd lukratywnej koncesji na całe Imperjum Brytyjskie, to jednak wszyscy ci bohaterowie giełdy mieli godne wzory w ministrach lat dawniejszych, autentycznych arystokratach.

Świeżo wyszedł nowy obszerny życiorys wielkiego angielskiego męża stanu, lorda Palmerstona, zwanego na kontynencie lordem-podżegaczem, który przez kilkadziesiąt lat rządził Anglją w pierwszej połowie ubiegłego wieku. Otóż jest tam wiadomość, że w początkach jego karjery zajęcie przezeń stanowiska ministra wojny zostało zachwiane przez petycję, jaką wnieśli akcjonarjusze pewnej kopalni węgla do Izby gmin ze skargą na oszustwo, jakiego padli ofiarą ze strony swych dyrektorów, a wśród nich również i szlachetnego lorda Palmerstona. To zostało jakoś jednak szybko zapomniane i lord wrócił niebawem na drogę swej świetnej karjery, coprawda, dodaje biograf, w późniejszych latach niema już śladu jego działalności giełdowej.

Jeszcze dawniej było jeszcze piękniej. W 1720 roku miała miejsce, jak wiadomo, jedna z pierwszych w historji i jedna z większych orgij spekulacji giełdowej, znana pod nazwą „*The South Sea Bubble*" (bańki mydlane południowych mórz), polegająca na zakładaniu fantastycznych towarzystw akcyjnych w egzotycznych krajach, forsowaniu kursów na giełdzie i narzucaniu naiwnej publiczności bezwartościowych papierów po niesłychanych cenach. Masy potraciły na tej spekulacji całe majątki, ale wielu też zdobyło olbrzymie fortuny, a na czele tych dobrze poinformowanych szczęśliwców stał szef rządu, znany Walpole. Zdobył on w tej grze istotnie olbrzymią fortunę, ale oprócz tego i nieograniczoną na długie lata władzę, gdyż potrafił uwikłać w podstępne machinacje pieniężne większość polityków, którzy mogli być dlań niebezpieczni jako rywale. Co więcej, dał posmakować łatwych a obfitych zysków nawet rodzinie królewskiej.

Ówczesny książę Walji, późniejszy Jerzy II i jego żona zakupili według rady Walpole'a wielkie ilości akcyj i sprzedali je następnie po najwyższym kursie, w przeddzień krachu, również za wskazówką ministra. Jerzy II nabrał gustu do tego sposobu zasilania swej szkatuły i grał na giełdzie dalej, zawsze zgodnie z kompetentnemi wskazówkami i zawsze z powodzeniem.

Historycy uważają wciągnięcie do gry rodziny królewskiej za mistrzowski manewr rosnącej plutokracji, która w ten sposób pozbawiła koronę jej powagi, sama nabrała siły, a w następnym wieku, po zrujnowaniu w czasie wojen napoleońskich arystokracji ziemiańskiej, zmieszała się z nią w jedno ciało i rządzi Anglją dotychczas.

Historja rządów plutokratycznych roi się od podobnych sprawek, a i dziś, jak widzimy, nie jest wiele lepiej. Nawet podczas wojny chodziły pogłoski o wielkich majątkach, jakie niektórzy ministrowie porobili na dostawach lub ich udzielaniu. Wyjątkiem chyba jest sam Baldwin, właściciel wielkich zakładów przemysłowych przed wojną, które potem, wszedłszy do rządu, sprzedał, a zwiększone w czasie wojny zyski w sumie paru miljonów funtów, wpłacił do skarbu. Nikt też jego osobistej czci nie podaje w wątpliwość. Tem nie mniej świeża przygoda z Thomasem wskazuje jak fatalne skutki wywołuje nowoczesne pomieszanie giełdy z rządami.

Można zapytać jednak czem się to dzieje, że mimo skorrumpowanych często rządów, Anglja doszła jednak do dzisiejszej potęgi. Znakomity myśliciel G. K. Chesterton, który zna niewątpliwie i miłuje swój naród, przypisuje wielką rolę w tem zjawisku poprostu szczęśliwemu losowi... wielkiemu bogactwu...

ARGUS

NA MARGINESIE

Z wydanego świeżo zbioru doskonałych bajek Al. Dzierżawskiego p. t. „Świnie i koryto":

I

Że na smaczne rybki miał ogromną chętkę,
poszedł raz Sanator łowić je na wędkę,
lecz choć godzinami siedzi przy jeziorze,
ani jednej rybki ułowić nie może!
Ktoś go wtedy spytał:—A czy pan pamięta,
że na haczyk włożona musi być przynęta?
Sanator się zadziwił:—To dopiero heca!
Myślałem, że wystarczy, jeśli się obieca!

II

Użalał się kiedyś Zając,
z Referentem rozmawiając:
— Nieszczęśliwe życie moje!
bo się zawsze czegoś boje,
za każdym szelestem
drżę już —
taki jestem
tchórz.
Na to Referent:—Mój Zającze,
wybacz, że się nie odwdzięczę
zwierzeniem za zwierzenie
i nic nie powiem.
Boję się bowiem
szalenie, że jesteś konfidentem...
I nie skończyła się niczem pouczającem
rozmowa między Referentem
i Zającem.

*

Do sztambucha pewnemu publicyście masońskiemu, oszustowi opinji wpisano anegdotę o szlachcicu litewskim.

Odwiedził go w Myszykiszkach jakiś literacki blagier z Warszawy i tak go zagadał nadzwyczajnemi teorjami, że Litwin nie mógł dojść do słowa. Wreszcie gdy ten się zmęczył, powiedział czerwony z irytacji tylko tyle:

— At, pan sam dureń!

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM